№ 32 Warszawa, dnia 31 Lipca (12 Sierpnia) 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Z ETYKI CARNERI'EGO.

Każdy nieuprzedzony musi przyznać, że ludzkość nieustannie rozwija się w kierunku dodatnim, że postęp jest nieodzowną cechą cywilizacyi nowożytnej, która nie tracąc zasadniczych podstaw, zdobytych pracą przeszłych wieków, przyswaja dla dobra ogółu nowe prawdy.

W miarę rozwoju specyalnych nauk i ogólnej wiedzy, wytwarzają się nowe stosunki, pojęcia, zasady, które wymagają od czasu do czasu streszczenia poglądu ogólnego i połączenia poszczególnych objawów, aby inteligentnemu ogółowi dać w rękę wskazówkę i sprawozdanie z dotychczasowej pracy.

Tego zadania podjął się znany profesor Carneri, który uwzględniając nowe zdobycze wiedzy na polu nauk przyrodzonych i medycznych, następnie społecznych i ekonomicznych, napisał dzieło p. t. *Neue Grundlagen der Ethik.*

Autor zamierzył przedstawić w swem dziele obraz człowieka etycznego z wieku XIX, a chociaż nie godzimy się na wiele poglądów Carneri'ego, jednak książka ta będąca wyrazem przekonań większości przyrodników, oparta na najnowszych rezultatach wiedzy, zasługuje w zupełności na bliższe poznanie.

Ramy naszego pisma nie pozwalają na szersze i głębsze opracowanie przedmiotu, i zmuszają nas do krótkiego streszczenia ważniejszych kwestyi poruszonych przez autora.

Carneri, rozpatrzywszy się w stanowisku człowieka w przyrodzie i ich wzajemnym stosunku, twierdzi, że człowiek jest ściśle zwiazany z naturą, że zatem poznanie praw natury może nam wyjaśnić i usunąć wątpliwości fizyczne i psychiczne człowieka.

Podstawą praw natury są prawa przyczynowe, a to, jako zasady wszystkiego co istnieje.

Prawo przyczynowe jest zatem podstawowe, na mocy którego mamy tylko naturalne przyczyny i następstwa, a bez którego nie mogłoby istnieć doświadczenie i wogóle poznanie natury.

Gdybyśmy na świat spoglądali bez owego światła, jakie dają prawa przyczynowe, to świat przedstawiłby się nam jako niezrozumiała gra przypadku, w przeciwnym razie otrzymuje on wybitną cechę prawidłowości a człowiek może poznać siebie samego.

Podobnie jak w naturze wszystko stosuje się do konieczności, tak też wszystko, co człowiek czyni jest koniecznością. To czego chce, *musi* on chcieć, gdyż chęć jego może się stosować jedynie do miary jego wyobrażeń i pojęć. Jeśli on sądzi, że działa wbrew swej woli, to się myli, gdyż w tym razie popęd silniejszy przeważa tylko nad słabszym i według tego stosunku idzie i wola. Zawsze jednak pozostanie to jego *szczęściem*, że chce i szuka, bez względu na to czy znajdzie rozkosz w swej słabości lub sile, w upojeniu lub boleści.

Zapatrując się w ten sposób zrozumiemy nietylko człowieka, lecz dzieje świata i cały postęp ludzkości. Ideał *szczęścia* jest zmienny i zdolny do nieustannego uszlachetnienia; ale wśród wszystkich warunków jest dążenie do szczęścia podstawą ludzkich przedsięwzięć. I nie ma nic bardziej mylnego, jak zdanie, że to właśnie dążenie jest niegodnem człowieka i równa go ze zwierzęciem. Zwierzę nie zna dążenia do szczęścia, ono posiada tylko zmysł *samozachowawczy*, a podniesienie go do dążenia ku *szczęściu*, to zdziałała *samowiedza* człowieka.

Szukając przyczyny, dlaczego jedni w swym pochodzie do szczęścia rozpościerają w około błogosławieństwo dla bliźnich, zaś inni przekleństwo, znachodzimy ją w różności *pojęcia* szczęścia. Kto sam nie jest szczęśliwym, nie może uszczęśliwiać drugich, jak również nikt nie może innym przynieść prawdziwego szczęścia nie stając się przez to sam szczęśliwym. Istnieje jednak szczęście fałszywe, a to może tylko nieszczęście przynosić, nie robi ono szczęśliwym i tego, który go szuka, alež bo i on nie potrafi zrobić coś lepszego. Wszak i asceta, który unika wszelkiego szczęścia, właściwie szuka szczęścia w tem unikaniu. Mylimy się więc mówiąc, że ktoś nie pragnie szczęścia, albo też, że go unika ze względów świętszych aniżeli szczęście, gdyż mamy tu do czynienia z pewnym rodzajem ofiarności, która mu jest droższą nad wszystko,—tedy ona stanowi jego szczęście. Nie ma człowieka, któryby nie dążył do szczęścia, lecz istnieją i tacy ludzie, którzy posiadają błędne dążenie do szczęścia i to są ci bezczelni, o stępionym zmyśle dla bliźnich, są to ludzie straceni i dla siebie i dla drugich. Czasami odgrywają oni nawet wielką rolę i mimo szerzenia przez nich nieszczęść znajdzie się bezmyślna masa ich wielbiąca, ale odmiennym jest i będzie wyrok dziejów. Przedewszystkiem idzie tedy o to, aby dążenie do szczęścia było *dobrze pojęte* i *zrozumiane.*

Pragnienie szczęścia jest naturalnem następstwem *poznania*, opartego na samoistnem myśleniu. Jedyną drogą do poznania i używania jest *praca*, jako jedyny czynnik zbawienia. Lecz ona daje nam nietylko poznanie, ale i szczęście. *Dobro* jest owocem wyższego rozwijającego się poznania, a formułka brzmi: przez *pracę* i *wykształcenie* do *prawdziwego* szczęścia, a przez nie do cnoty; czyli jednem słowem: *uszlachetnienie* dążenia do szczęśliwości.

Każdy człowiek powinien zrozumieć, że możliwa do osiągnięcia ilość szczęścia, nigdy wyczerpaną i skończoną być nie może i że na to szczęście

musi każdy *zapracować*. Kto dojdzie do tego przekonania, ten jest już na drodze zostania człowiekiem etycznym i spostrzeże, że majątek, chociażby pracą zdobyty nie stanowi szczęścia. Łatwo można go utracić, a wówczas czuje się nieszczęśliwszym aniżeli dawniej, pomijając już i to, że w rzeczywistości staje się on częściej przyczyną zmartwienia aniżeli radości. Samą *pracę* pojmować, jako pewien rodzaj kary, jest arcysmutnym objawem, a niestety dość rozpowszechnionym. Dawniejsze niewolnictwo a nowsze poddaństwo z pracą wykonywaną dla drugich, nieprowadzącą do własności, poniżały i hańbiły pracę, czyniąc ją beznadziejną. Dziś minęła ta epoka bezpowrotnie, a wraz z nią barbarzyństwo. Jest to świt nowożytnej cywilizacyi. Od pracy nie da się odłączyć moralność i obyczajność, gdyż ta ostatnia jest sama już pracą, a polega wraz z szczęściem na harmonijnym rozwoju myślenia i uczucia.

Myślenie jest zjawiskiem naturalnem, jak pierwszy lepszy kwiat i podobnie jak każde *naturalne* zjawisko podlega i ono stałym *prawom*. Myślenie polega na szeregowaniu wyobrażeń i pojęć, będących w zakresie naszej samowiedzy. Jeśli myślenie jest jasne, to również i nasze uczucia stają się jasnemi i z nich przebija się myśl. Jeśli nie umiemy jasno myśléć, w takim razie okazuje się na zewnątrz mętne uczucie, nie dające się przezwyciężyć myśleniem.

Proces, w którym przez wrażenie porusza się uczucie, przez poznanie tegoż nasza wola, wreszcie przez myślenie dochodzi wola do samopoznania i wyraża się przez moje ja i fakt spełniony, taki proces nazywa się *doświadczeniem*.

Doświadczenie zostaje w takim stosunku do sprawdzenia, jak osądzenie do pojmowania. Osądzenie jest zrozumianem pojmowaniem, zaś doświadczenie jest zrozumianem sprawdzeniem.

Nasze myślenie i wola wykażą zawsze rodzaj naszego uczucia, gdyż myślimy i chcemy stosownie do uczucia, ale i uczucie musi nosić na sobie cechę naszego rozumu i woli. Ograniczony rozum i brutalna wola łączą się z brutalnem uczuciem i odwrotnie, uczucie, które nie jest skłonne do pospolitości, znajduje swój wyraz w jasnym rozumie i w szlachetnej woli. Charakter, uczucie, rozum i wola są rezultatami ciągłego i nierozerwalnego łańcucha *przyczyn* i *następstw*.

Wszystko, czem się ludzkość wzbogaciła zawdzięcza postępom *wiedzy*, która rozszerzając się stopniowo, rozwija zakres *poznania* jednostki. Z poznaniem uszlachetnia się nasza wola, stawiając dla siebie inne cele. Jest to droga bardzo uciążliwa, lecz prowadzi do rzetelnej oceny prawdy. Nawet takie nowe odkrycie, które boleśnie dotyka naszą próżność, może podnieść zaufanie w własne siły, gdyż daje nam stałe i niezmienne podstawy. Zachodzi tu podobny stosunek, jaki istnieje pomiędzy pewną wiadomością o nieszczęściu a oczekiwaniem nieszczęścia wśród niepewności.

Pod *rozumem* w ściślejszem znaczeniu rozumiéć należy udoskonalenie rozsądku, który osiągnął tu wyższy stopień wykształcenia. Rozsądnym może być każdy człowiek myślący, rozumnym tylko wykształcony.

Wzajemne oddziaływanie świata na nasze ja i naszego ja na świat nie ulega wątpliwości, a świadomość o sposobie, jak się to dzieje, stanowi o bogactwie naszej wiedzy, zaś zastosowanie wiedzy do celów ogólnoludzkich jest zadaniem inteligencyi.

Im bardziej ogólnym a tem samem obszerniejszym jest przedmiot zatrudnienia się naszego ducha, tem wyższą jest nasza *inteligencya*; zaś osiągnięcie prawdziwego szczęścia wymaga najwyższej inteligencyi.

Życie człowieka to jedno i nieustanne pragnienie szczęścia, lecz każdy odmiennie go sobie przedstawia. Wszyscy jednak schodzą się i godzą w jednym punkcie, a mianowicie tam, gdzie poznają, że ich *ja* jest tylko połową całości i że dopiero ja i ty stanowią *całe ja*. Tak kobieta, jak i mężczyzna czują, że połączenie ich obojga wytworzy *całego* człowieka. Jeden czuje to mniej, drugi więcej, ale czują wszyscy, a ten który publicznie najbardziej potępia ten związek, w głębi serca najbardziej mu sprzyja.

Całe życie ludzkie daje świadectwo tej prawdzie, która jest żywotną jak każda prawda i jest źródłem życia. *Ja* i *ty* przemienia się na *my*. Ja pozostaje jak dawniej osią, około której świat się obraca, ale *egoizm czystego rozumu* obejmie szerszy zakres, wciągając w koło swych zapatrywań także cudzą wolę, stając się tem samem uniwersalnym egoizmem rozumu w myśl etyki angielskich myślicieli. Ten uszlachetniony egoizm tem się różni od zwykłego, że w nim jednostka szuka własnego szczęścia w szczęściu drugiej. Rozumny człowiek widzi w drugim człowieku siebie samego i dla niego jest nietylko potrzebą nieodzowną podzielić się swem szczęściem z drugim, lecz zarazem szczęście drugiego człowieka jest mu tak świętem jak jego własne, tak dalece, że nie potrafi być szczęśliwym, gdy okupił swe szczęście cudzem cierpieniem i niedolą.

Świadoma siebie wola wytwarza *idee*, które dla jednych stają się najwznioślejszemi celami, dla drugich granicami, których im przekroczyć niewolno. Jeden ją wymyśli, drugi z niej skorzysta, a często się zdarza, że na urzeczywistnienie idei trzeba czekać kilka i kilkanaście dziesiątek lat. Ta współczynność duchowych pierwiastków przemienia stopniowo walkę z przyrodą na *walkę o cywilizacyą*.

Z naszego *ja* rozszerzonego przez *ty* na *my* płyną trzy idee, trzy główne zasady etyczne: *miłość*, *ludzkość*, obejmująca humanitarność w najszerszem tego słowa znaczeniu i *idea dobra ogólnego*. Naturalnie miłość poprzedza dwie następne zasady, która z nich jednakowoż pierwsza powstała z miłości, czy ludzkość czy też idea dobra ogólnego, jest rzeczą wątpliwą.

Miłość jest życiem w najwyższym stopniu rozwoju. Jak kto rozumie miłość, tak też pojmuje życie, zwłaszcza w tem wszystkiem, w czem bierze udział głębsze uczucie czyli jak się to mówi serce. Uzupełnieniem naszego ja jest wszystko co ma związek z miłością, która też w miarę swego wzrostu nas uszlachetnia. Ona jest podstawą naszego dążenia ku szczęściu, które przez miłość staje się dla nas zrozumiałem, nabiera wyrazistości i podnosi się przed nami jako cel życia i gwiazda przewodnia.

Podobnie jak w pięknym obrazie prawda być musi, tak musi ona istnieć i w dobrem. Ta zasada okazuje się nawet w ciszy codziennego życia, lecz jeśli ma ona zajaśnieć w życiu publicznem, wówczas wymaga jej przeprowadzenie niezachwianego męstwa, którego użycza idea dobra ogólnego i pełnego poświęcenia humanitarność, która wypływa z miłości. Prawda, piękno i dobro, tym trzem siostrom towarzyszy zawsze i wszędzie *ideał*, który woła na nas: Naśladujcie mnie, wstępujcie w me ślady a będziecie szczęśliwi! — I dotrzymuje słowa. Naszem dążeniem powinno być ujęcie pewności, a jednak nie możemy *nigdy* dojść do absolutnej prawdy, tylko wówczas, gdy nadamy jej kształty ideału.

Chcąc mówić o szczęściu, nie powinniśmy miéć na myśli poszczególnych celów i sytuacyi, lecz sposobu pojmowania tegoż. Zasób naszych wiadomości może być nader bogaty i głęboki, a jednak mimo tego może nam zabraknąć *samowiedzy*, która polega na samodzielnem osądzeniu naszego stosunku do ogółu zjawisk. Pierwszym warunkiem szczęścia jest rozum, a ktokolwiek raz tylko doznał uczucia, zwanego *samodzielnem udoskonaleniem się*, ten mu pozostanie wiernym do końca życia.

Rozum może tylko wówczas rozwinąć swą działalność w praktyce, jeśli swe idee ucieleśni za pomocą fantazyi w *ideały*, które reprezentują istotną umysłowość jednostki. Zjednoczenie wszystkich ideałów da nam *ideał etyczny*.

Pod nim nie rozumiemy udoskonalenia ludzkości, które kiedyś może być osiągnięte, gdyż to byłoby przeciwnem ogólnemu pojęciu ideału; lecz widzimy w nim stan do którego ludzkość *zbliżyć* się może a nastąpi to tem prędzej, im wyraźniej zaznaczą się korzyści i im silniej oddziała na nią przykład tych, którzy swem życiem dają świadectwo głoszonym prawdom.

Naszym ideałem jest etyka życia na podstawach *wiedzy*. Ona kroczy nieustannie naprzód, jednak potrzebuje często długiego czasu, zanim zdruzgocze twarde łupiny dawnego przyzwyczajenia kolei myśli. Kiedyś, przyjdzie czas, że rozprzestrzeni się zasada iż *człowiek sam dla siebie jest celem*, a wówczas i moralność zyska nowe podstawy, tak silne jakich nie było przy całej dawniejszej teoryi celowości. Dzień, w którym to zapatrywanie stanie się własnością większości, prawdziwa idea humanitarności będzie święcić dzień zmartwychwstania. Ta idea zawiera w sobie pojęcie solidarności wszystkich ludzi, dotychczas przez chrześciaństwo głoszonej. A świat już wszedł na tę drogę. Nie powinniśmy w to wątpić, widząc występki i zbrodnie jednostek, chociażby one nawet się wzmogły.

W tym razie rozstrzyga jedynie oburzenie wszystkich warstw społecznych na widok barbarzyństwa lub zwierzęcości, które dawniej przed kilku dziesiątkami lat zdajdowało często publiczny poklask.

Humanitarność jest cechą naszych czasów. Idea *dobroczynności* stała się dziś ogólniejszą i obejmuje cały ogół ludzkości. Prawo nie zna już różnicy osób, a assocyacye umożliwiają najsłabszym podjęcia się największych przedsiębiorstw. Ideał szczęśliwej ludzkości wziął na się określone kształty, a z obrazu poetycznej fantazyi stał się poważnym *celem*, do którego zdążamy wytrwale.

Jak wspomnieliśmy zadaniem i celem człowieka jest on sam. Ta zasada jakkolwiek piękna i wzniosła jest jednak zbyt abstrakcyjną, tak że z trudnością budzi w nas entuzyazm. Pomocą staje się nam w tym razie fantazya etyczna, która stawia przed nami *ideał*, możliwy do urzeczywistnienia i bezpośrednio na zmysły oddziałujący. Człowiek jest zawsze tylko człowiekiem, i jeśli ma poświęcić najszlachetniejsze swe siły dla jakiegoś celu, to cel ów musi wziąć na siebie kształty takiego obrazu, na widok którego serce nasze żywiej uderza i myśl się podnosi, który w chwilach zwątpienia natchnie nas odwagą, a gdy wokoło ściemnieje, rozświeci dalszą drogę. Nikt i nigdy nie wykonał coś wielkiego i wzniosłego, kto przed sobą nie miał ideału, tego najwyższego dobra ziemskiego

które wynagrodzi każdą stratę, każde rozczarowanie.

Pod *idealistami* w przeciwieństwie do *ideologów* nie rozumiemy marzycieli, lecz ludzi praktycznych, tak dla siebie jak i dla ludzkości, jakkolwiek nie są oni praktyczni w zwykłem znaczeniu tego wyrazu. I oni szukają własnych korzyści, gdyż tylko głupiec szuka własnej szkody; lecz ich duch jest różny od innych i to ma dla nich wysoką wartość, co inni lekceważą. Życie osądzają oni ze stanowiska *rozumu*, a przez to samo teraźniejszość jest dla nich godziną przyszłości. Przekonanie o szczęśliwszej przyszłości i to, że dodatnio współdziałali, jest dla nich najmilszem uczuciem. Idealista nietylko posiada ideał, lecz żyje wraz z nim.

Kto sądzi ludzkość według nieodmiennych praw przyczynowych, ten musi się stać bardziej wyrozumiałym aniżeli kto inny, a to nie z dobrego serca, jak mówią, lecz na podstawie zdrowych i rozumnych zapatrywań na świat.

Jedną z najważniejszych zasad etyki jest *religia* w najszerszem tego słowa znaczeniu. Prawdziwa religia polega na istotnej miłości, wykonywaniu obowiązków ogólnych i płynących z powołania. Religijność sama może polegać albo na *wiedzy* albo na *wierze*. Na wiedzy wówczas, gdy rozwój świata pojmuje jako *prawidłowość*, na wierze zaś, gdy go uważa ze stanowiska celowości (Zweckmässigkeit).

Początku religii nie możemy już dziś szukać w obawie przed nieznanem, w tym dziecęcym strachu, jak to Plinius określa, lecz w uczuciu człowieka, gdzie się mieści prawdziwa uległość i pobożność.

Dawniej uległość ta dotyczyła mar wyobraźni, dziś rozumny człowiek poddaje się prawom natury, z całą świadomością i swoje ja podporządkowuje wszechświatu i kardynalnym prawom przyczynowym.

Trzech zasad etycznych powinni się trzymać ludzie. Kochaj pracę, jak siebie samego, staraj się nieustannie stać się nieodzownym dla tych, którzy są z tobą złączeni, wreszcie pamiętaj, abyś wszelkich starań dołożył czynienia czegoś dobrego na jakiemkolwiek byłbyś stanowisku.

Te reguły życia polegają na czystym egoizmie, kto ich się trzyma ten odnosi największą korzyść i one-to stanowią pierwszy stopień szczęśliwości. Li tylko przez pracę zmienimy teraźniejszą walkę wszystkich *przeciw* wszystkim na walkę wszystkich *za* wszystkich — za wszystko, co jest szlachetnem, wzniosłem, prawdziwie potrzebnem ludzkości.

Age.

CÓRA GÓR.

Wokoło doliny kwitnące
I w skałach wykute kaskady, —
I niebo gwiazdami błyszczące —
A tyś tak smutny i blady...

Posłuchaj — zdaleka trelami —
Pieśń płynie — tam — z kwietnej doliny,—
Spojrz — chatka, tam, tam — pod skałami,
A w progu cień smukłej dziewczyny...

U chatki dwie kwitną topole,
U okna kalina rozpęka,
A z progu — posłuchaj — przez pole
Jak płynie i dźwięczy piosenka, —

Posłuchaj! — śpiewają słowiki —
I szmer się donosi kaskady,
Rusałczane niby okrzyki,
Łamane o skalne arkady,
A tyś tak samotny i dziki, —
Samotny, i dziki, i blady...

Chodź bliżej... a skłoń się ty ku mnie, —
Opowiedz swe żale, lżej będzie,
Chodź bliżej, a nie patrz tak dumnie —
Tak dumnie w me łono łabędzie...

Rozprostuj te brózdy u czoła,
Spojrz ile światełek na niebie,
Spojrz na mnie: jam zawsze wesoła,
Ale czy szczęśliwsza od ciebie?

. . . .

Choć — prawda — śród dolin... czasami,
Gdy nikt mnie nie widzi, nie słucha,
Gdy pieśń znajomemi dźwiękami
Przeszłości wspomnienia rozdmucha —
I moja twarz kropli się łzami
Gorzkiemi... ale to czasami...

To rzadko... bo pocóż żałować
Snów, co się nie mogą już wcielić,
Nie lepiej-że w głębię ból schować,
Przed ludźmi zaś śmiać się, — weselić.

Przywykniesz do tego... sam siebie
Oszukasz — i lżej tobie będzie,
Niż tęsknić po ziemskiem tu niebie,
Wspominać pieszczoty łabędzie.

Józef Korwin.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Tymczasem Skarzyński z powodu powodzi, zaczął opowiadać o jakimś wylewie Sekwany, czy Garonny, przy którym był obecnym, przed dwoma laty we Francyi i wkrótce tak zręcznie umiał pochwycić nić rozmowy, że przemieniwszy nas wszystkich w niemych słuchaczy, sam całkowicie pozostał przy głosie, olśniewając nas prawdziwemi fajerwerkami erudycyi i dowcipu. Siedząc nieco z boku i patrząc na niego uważnie, musiałem przyznać, że artysta posiada dar wyjątkowy bawienia kobiet. Umiał mówić o milionie rzeczy prześlizgując się z przedmiotu na przedmiot lekko, swobodnie, zajmująco, nie poruszywszy żadnej kwestyi gruntownie, nie zastanowiwszy się nad niczem dłużej, unikając wszystkiego coby znużyć mogło umysły słuchaczek i choćby na chwilę spędzić poważniejszą myślą uśmiech z ich czoła. Była to prawdziwa ślizgawka salonowa bez wartości i sensu. Panie nasze przecież, nie wyjmując nawet zacnej naszej, poważnej Jenerałowej, zdawały się być z niej najzupełniej zadowolone. Dobry humor zapanował stanowczo przy głównym stoliku, żarty i dowcipy krzyżowały się żywo a po nad ten gwar wesoły od czasu do czasu wybijał się srebrny, swobodny śmiech Kseni. Z uczuciem dosyć silnego niezadowolenia widziałem, że moja dziewczynka była humorem i wymową Eugeniusza prawdziwie olśnioną. Siedząc pochylona nad rysunkiem, ktory, mówiąc nawiasem, bardzo zwolna postępował wprost pod ogniem magnetycznych spojrzeń artysty, podnosiła na niego od czasu do czasu jasne, błyszczące żartami oczy i zatrzymywała je długo na pięknej twarzy mówiącego zapominając zupełnie o ołówku, który wypadał często z jej różowych paluszków mimo ich chęci i wiedzy.

Widząc że artysta potrafił tak owładnąć umysły pań naszych, że obecność nasza jest im już niepotrzebna najzupełniej, obaj z Mirskim usunęliśmy się dalej ku kominkowi i wraz z Jenerałową, którą wkrótce zmęczyła nieco zbyt wesoła rozmowa, po jakiej, jak mówiła, przyszła do nas wypocząć — rozpoczęliśmy we troje poważną, wpółcichą gawędkę na swoją rękę.

Staruszka wypytywała Stefana o stosunki obywatelskie poleskie: miała tam kilka rodzin znajomych i pragnęła się dowiedzieć o ich losach. Mirski odpowiadał jej na wszystkie pytania bardzo obszernie i szczegółowo; widziałem przecież, że pomimo to uważał bardzo pilnie na to co się dzieje przy drugim stoliku i rozmawiając nie spuszczał prawie oczu z jasnowłosej główki Kseni, której delikatny profil oświetlony z góry promieniem światła bijącego od alabastrowej lampy, rysował nam się pysznie na błękitnem tle wysokiego, staroświeckiego fotelu.

— Panie Mirski—odezwała się naraz Ukrainka nie podnosząc oczu od swego rysunku — jak pan wygląda?

— Lat trzydzieści, wzrost średni, blondyn.

— Ależ nie! — przerwała mu śmiejąc się głośno.

— Mogę panią zapewnić, że tak mam w paszporcie — odparł najzupełniej seryo.

— Ależ nie o to mi chodzi!

— Wąsy jasne, oczy niebieskie.

— Szafirowe — odrzekła nie podnosząc oczu od rysunku i wycieniowując ołówkiem coś starannie.

— Zęby zdrowe, znaków szczególnych żadnych.

— Otóż, chodzi mi właśnie o znaki szczególne!

— Czy odnalazła może pani, że jestem skrzywionym kaleką?

— Jeszcze gorzej, nie mogę w żaden sposób zrobić z pańskiej twarzy karykatury!

— Zostaw ją pani tak jak jest.

— Nie może być, psułaby mi cały szkic mój.

— To wyrzuć ją pani.

— Także nie można. Obiecałam cioci, że będziemy tu wszyscy.

— I wszyscy skarykaturowani?

— Otóżto — odparła podnosząc na niego śmiejące się oczy — że posiadam taki talent nieszczęśliwy! Dawniej, zanim poczęłam uczyć się rysunku, zdawało mi się, że skoro tylko wezmę ołówek w palce, stanie się cud i od razu utworzę coś olbrzymiego, jakieś arcydzieło, które od razu zrobi mnie wielką! Tymczasem teraz — dodała śmiejąc się — talent mój rozwija się najnieszczęśliwiej w rodzaju najzupełniej hogartowskim. Nie mo

gę nic wyrysować na seryo i czegokolwiek się dotknę, staje się karykaturą!

— Dowodzi to tylko, że posiadasz pani naturę nawskróś wesołą i humorystyczną—odrzekł Mirski powstając i zaglądając przez jej ramię na rysunek.

Zbliżyłem się i ja, aby pracę mej uczenicy obejrzéć.

Na niewielkim arkuszu Ukrainka pobieżnie bardzo, śmiałemi, pewnemi rysami, naszkicowała kawałek stromego nadrzecznego brzegu, na który rzuciła grupę znakomicie trafnych i charakterystycznych postaci, zebranych czysto z naszego podwórza, ze stajen i stodół, a schwyconych na gorącym uczynku, tak jak stały nad wodą w chwili, gdy znalazło się czółno, ale nie było wsiąść w nie komu! Nasza młoda artystka z niepospolicie rozwiniętym zmysłem spostrzegawczym, umiała pochwycić jakąś odrębną, charakterystyczną właściwość komiczną każdej z tych żywych figur wychodzących prawie ze szczupłych ram obrazka, zacząwszy od typowo-mazowieckiego drapania się całą garścią po głowie Macieja polowego, nie pominąwszy Józefa fornala, którego odrębność stanowiła dolna część ubrania wymykająca się ustawicznie z pod rzemiennego paska i przytrzymywana wiecznie ręką z tego powodu, a skończywszy na Pawle włódarzu, słynącym w okolicy z gestykulacyi rękami towarzyszącej zawsze jego mowie i przezwanym z tego powodu „wiatrakiem". Cała nasza gromada żyła na tym kawałku papieru i ruszała się prawie.

Spojrzawszy na tę grupę nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, tembardziej że psotnica nie darowała nawet mojej osobie, którą narysowała stojącą tuż nad wodą, z ręką wyciągniętą z powiewającą w niej czarodziejską dwudziestorublówką, z miną tak śmiesznie napuszoną, że można było kłaść się z niej ze śmiechu. Wiem dobrze, że w gruncie rzeczy nie mam postaci tak nieznośnie nadętej i nie rozumiem jakim sposobem moja Ukrainka zrobiła mnie razem tak podobnym i tak śmiesznym, że jeszcze dzisiaj, po wielu ubiegłych dniach i latach, gdy czasem przyjdzie na mnie czarna godzina i troski jakie obległą mą duszę, wyciągam ten szkic, który nigdy mnie nie opuszcza i jedno spojrzenie na moją własną postać wystarcza najzupełniej na przywrócenie mi dobrego humoru.

Siebie samą odrysowała dziewczyna bardzo dowcipnie: stała tam obok mnie w całej okazałości trzymając cugle Burana w ręku, ale kaptur od płaszcza tak miała głęboko naciągnięty na głowę, że wcale nie było widać jej twarzy i stała się przez to ani śmieszną, ani poważną. Jedyną postacią, która psuła ogólny wesoły i pełen werwy nastrój szkicu, była postać Mirskiego. Pomiędzy temi komicznemi figurami stał on poważny i spokojny jak zwykle, w łodzi, z właściwym sobie wyrazem twarzy łagodnym, trochę chmurnym, patrząc na rozbijające się o brzeg łódki, fale wody.

Zadziwiłem się nieco tem, że moja faworytka po znajomości tak krótkiej potrafiła podobiznę młodego przedsiębiorcy odtworzyć tak wybornie.

Spostrzegłem także że ta postać narysowaną była najlepiej, wykończoną najstaranniej i traktowaną widocznie *con amore*.

— Otóż widzi pan — mówiła Ksenia wskazując ołówkiem rysunek Mirskiemu—pana fizyognomia psuje mi cały szkic! Z tą twarzą na przodzie rysunek humorystyczny humorystycznym być przestaje.

— Czy nie mogła jej pani inaczej ucharakteryzować?

— Ani rusz! — odparła śmiejąc się dziewczyna. — Nie mogłam nic więcej dokazać. Chyba ty staruszku — dodała podając mi ołówek — potrafisz tu co dodać?

Odpowiedziałem, że najzupełniej nie posiadam talentu w jej rodzaju i tem więcej popsułbym jej obrazek.

— Czy pozwoli mi pan panie Mirski poprawić rysunek panny Lubrzańskiej i swoją osobę zastosować do ogólnego charakteru szkicu? — zapytał Skrzyński zbliżając się do stolika i sięgając po ołówek, który trzymałem w ręku.

— Z przyjemnością — odparł Stefan, robiąc miejsce przy stole artyście, który pochyliwszy się pod światło lampy, na prędce i od niechcenia dwoma pociągami ołówka rzucił na szlachetną, poważną twarz młodego przedsiębiorcy rys jakiś lekki, nieznaczny, prawdziwie mistrzowski, którym zmienił natychmiast tę postać, nadając jej wyraz bohatera *par force* śmiesznie wyzywający, don kiszotowski najzupełniej.

Podziwialiśmy wszyscy to pociągnięcie ołówka mówiące odrazu o wartości ręki, która niem kierowała. Całe nasze towarzystwo, nie wyjąwszy pań starszych, powstawszy z miejsc swoich, otoczyło stolik oglądając rysunek, który przechodził z rąk do rąk, wśród ogólnych pochwał. Ksenia tylko siedziała na swem miejscu, czekając rychło szkic jej obszedłszy kółko oglądających, powróci do niej, a kiedy wreszcie dostała go do ręki, opuściła na niego swoje śliczne oczęta i siedziała tak długą chwilę przyglądając mu się uważnie i z zajęciem.

— Nie — rzekła po chwili niezadowolona — jest to mistrzowskie, niezrównane! ale tej twarzy nic to nie pomogło. Pozostały zawsze te same oczy łagodne, poważne i trochę smutne, z niemi twarz ta może stać się nudną, lecz nigdy śmieszną. To fakt panie Mirski, — dodała śmiejąc się. Jesteś pan człowiekiem tak na seryo, że nie zdasz mi się nigdy do moich szkiców.

W tej chwili Antoni zawezwał nas do stołu i pod przewodnictwem naszej pani ruszyliśmy przez szereg pokoi do jadalnej sali, gdzie już zastawiona czekała nas wieczorna herbata.

Tą razą malarz manewrował tak zręcznie, że zdobył sobie miejsce pomiędzy panną Skarzyńską i Ksenią. O ile uważałem, panny obie nie gniewały się bynajmniej o to sąsiedztwo. Przez cały czas wieczerzy śmieli się wszyscy troje i rozmawiali bardzo wiele. Siedząc po drugiej stronie stołu, nie mogłem słyszéć dobrze o czem mówili, z kilku słów przecież oderwanych, jakie dobiegły mych uszu, domyślałem się, że przypominają sobie jakiegoś mazura, którego tańczono na zabawie w Łękawie i różne epizody balowe. I byli tak rozmową tą zajęci, że kiedy wstawaliśmy od stołu, młodzież nasza zagawędzona nie zwając na hasło Jenerałowej, pozostała na swych miejscach i dopiero wesoła hrabianka śmiejąc się przywołała ich do porządku.

(*D. c. n.*)

NIEBOSZCZYK ROUSSELOT.

HUMORESKA

KAROLA DESLYS.

Przekład z francuzkiego

E. H.

(Dalszy ciąg.)

X.

Wtem nadbiegł Bastyan zadyszany, przerażony, zmieszany.

— Masz tobie! — zawołał. — Panna Irena przyjeżdża z klasztoru. Spostrzegłem powóz zakonnic, tam na lewo.

— Irena! — zawołał starzec wzruszony.

Po chwili namysłu rzekł:

— Może to i lepiej...

Prosper przez delikatność zabrał się do swego malowania, nie mieszając się do rozmowy. Pan Jan zrobił pocichu kilka uwag Bastyanowi a zakończył temi słowy:

— Pamiętaj sobie, żebyś przed nią szczególniej nie wygadał się z niczem.

— Jakto? pan chce żeby panna Irena nie wiedziała?...

— Nie, tylko chcę żeby kto inny, nie ty, oznajmił jej o nieszczęściu, które na nią spadło. Idźże, leć!

A gdy Bastyan pędził jak mógł najprędzej swemi długiemi nogami, pan Jan zwrócił się do Prospera i uderzając go przyjaźnie po ramieniu, rzekł:

— Musisz się pan podjąć wielkiej dla mnie usługi, kochany panie Prosperze.

— Z największą chęcią, cóż pan sobie życzy?

— Muszę panu najprzód wytłomaczyć kto to jest panną Irena.

— Miałem właśnie zapytać o to, gdyż przyznaję żem niezmiernie ciekawy.

— Oj młodzież, młodzież!... Aby tylko posłyszeli imię dziewczyny...

— Cóż chcesz mój dobry panie? skoro się ma dwadzieścia pięć lat, jest się podrzutkiem, a nie wyszafowało się uczucia ani dla ojca, ani dla matki, dla sióstr lub braci, to się go ma zapas w sercu nielada... Ale mówże pan prędzej, któż to jest panna Irena?

— Jest to krewna nieboszczyka; także sierota. Miała zaledwie pięć lub sześć lat, gdy ją odumarli rodzice. Nieboszczyk Rousselot wziął ją do siebie, zatrzymał kilka lat tutaj, a potem oddał na pensyą do Urszulinek w Szerburgu. Zwykle dwa razy na miesiąc zakonnice przywożą tu swoją wychowankę: w niedzielę rano jadą do swojego folwarku i zostawiają tu pannę Irenę, a wieczorem zabierają ją napowrót. Było to ulubione dziecko zmarłego; ma ona zaledwie lat siedmnaście.

— Jakże się to stało? czy podobna żeby wasz pan nic jej nie zostawił?

Na to pytanie zmieszał się pan Jan na razie.— Potem rzekł:

— Widzę że trzeba panu powiedzieć wszystko. Widzi pan, akt, mocą którego przyjaciel pański stał się dziś panem całego tego majątku, był tylko projektem testamentu. Nakreślił go niebo-

szczyk Rousselot pewnego wieczoru i opowiedział mi przytem swój plan cały. Chciał on istotnie zostawić wszystko panu Anatolowi, lecz z tym warunkiem ażeby ten przyjechał tutaj i ożenił się z panną Ireną.

— Ach, ach!

— W kilka dni później śmierć porwała mego pana. Znaleziono tylko ten papier i nic więcej. Odtąd już blizko dwa tygodnie minęło, wyznaję jednak ze wstydem, że nie śmiałem uwiadomić panny Ireny o śmierci jej krewnego, Mateusza.

— Biedna panienka!... jakto! więc nie wie jeszcze...

— Źle postąpiłem, to prawda; może się to nawet bardzo dziwnem zdawać. Lecz cóż począć? stało się! Zresztą, miałem jeszcze nadzieję...

— Jaką-że to?

— Liczyłem na dobre serce pana Anatola Rousselot.

— Czy panna Irena ma jaki posag?

— Ani szeląga.

— Hm... hm!

— Mniejsza o to, znam moją powinność... spełnię ją święcie. Nasz dziedzic musiał się już obudzić; biegnę do niego. Powiem mu jakie były istotne zamiary zmarłego: może uzna jakąby to było szlachetną z jego strony oznaką delikatności, jeśliby dziś spełnił marzenia nieboszczyka pana Mateusza.

W tej chwili dał się słyszeć wesoły śmiech młodzieńczy.

— To ona!... zawołał żywo starzec. Spotkaj ją, na miłość boską, panie Prosperze! Przygotuj jak najostrożniej: powiedz jej prawdę całą. Dziękuję panu naprzód; otóż jest. Uciekam!

Próżno artysta chciał się wymówić od spełnienia tak przykrego zlecenia; pan Jan zniknął.

— Masz tobie! a to miły na mnie spadł obowiązek, biedna dziewczyna, jak jej tu tak nagle powiedzieć coś podobnego...

Nie dokończył; — prześliczny widok uderzył jego oczy.

XI.

Bastyan otworzył wrota, przed któremi zatrzymał się powozik wiejski. Z niego wysiadła młoda dziewczyna, lecz odwróciła się natychmiast, stanęła na stopniu i uściskała poczciwą zakonnicę, która ją przywiozła.

Zamieniły z sobą słów kilka, których Prosper nie słyszał, uścisnęły się raz jeszcze i buda powozu znikła za płotem.

Irena weszła w zagrodę i chciała widocznie zadać jakieś pytanie Bastyanowi, który zamykał bramę.

Lecz ten niezgrabiasz oniemiał znowu i uciekł ku domowi, najrozmaitsze wyprawiając giesta, które na ten raz Prosper doskonale rozumiał.

Młoda dziewczyna roześmiała się serdecznie i poszła sama pod jabłonie.

Artysta stanął za grubem drzewem, chcąc się lepiej przypatrzeć krewnej pana Mateusza.

Nie lubię robić portretów; nie mogę jednak zataić, że Irena była wysoka i szczupła; że w każdym jej ruchu była niewypowiedziana szykowność i gracya. Gdy się więcej zbliżyła, Prosper spostrzegł prześliczny odcień jej blond włosów, blask dużych błękitnych oczu, białość cery, świeże na twarzy rumieńce i przecudne karminowe usta czerwieńsze od wiśni. Szła unosząc nieco swoją białą sukienkę, żeby jej nie zwalać na rosie, można też było widzieć nadzwyczaj małą i zgrabną jej nóżkę.

Nie mam zamiaru wyliczać dalej wszystkich powabów jakie nie uszły oka Prospera; powiem tylko, że gdy młoda dziewczyna zbliżyła się do drzewa za którem się ukrywał artysta, temu przyszło mimowoli na myśl, że ze wszystkich skarbów jakie zawierała w sobie sukcesya kuzyna Rousselot'a, najkosztowniejszym była niezawodnie kuzynka Irena.

Ona tymczasem pewna, że jej nikt nie widzi, szła sobie podskakując, szczebiocząc jak ptaszek na gałązce. Wtem spostrzegła stalugi i obraz, podskoczyła, nachyliła się zręcznym ruchem i ujrzawszy malowidło, krzyknęła zachwycona:

— Ach jakież to prześliczne! Jestem najmocniejszą w rysunku z całej klasy, dotąd byłam nadworną malarką kuzyna Mateusza... Otóż masz!... ktoś mnie zrzuca z urzędu!... ale kto?...

I odwróciwszy się spotkała się oko w oko z Prosperem.

— Panie...

— Pani...

Ona się zaczerwieniła jak mak, on się zmieszał jak student.

Bardzo szczęśliwie dla dwojga młodych wmieszał się pies Cerber. Poznał on od razu młodą dziewczynę i zaczął skakać wokoło niej, łasić się i skomlić radośnie.

— Ceziu... przestań! no daj pokój, Ceziu...

I panienka zaczęła się bronić prześlicznemu zwierzęciu, które ją napastowało, domagając się pieszczot, a nie dało się uspokoić, aż go kilka razy pogłaskała.

Młody artysta przypatrywał się tymczasem z zachwytem tej ślicznej istocie; doznawał takiegoż samego uczucia, jak parę godzin wcześniej wpatrując się w zieleniejący świeży krajobraz o wschodzie słońca. Ach, bo też istotnie, jak wiosna świeżą była kuzynka Irena.

— Przepraszam! rzekła nakoniec dźwięcznym głosem, zadyszana jeszcze z powodu zapasów z Cerberem — przepraszam pana, lecz...

— To ja powinienbym był przeprosić panią; lecz niech pani raczy wejść do domu; polecono mi przyjąć w nim panią.

— Panu? Któż pan jesteś?

Po krótkiem wahaniu się Prosper w miejsce odpowiedzi wskazał swój szkic na stalugach.

— To pan namalowałeś? — zawołała naiwnie Irena; — o! już o nic nie pytam... ponieważ ufam ślepo.

Młody człowiek rozkosznie wzruszony, podał jej rękę w milczeniu.

Panienka bez wahania ją przyjęła.

Spojrzeli sobie prosto w oczy, szczerze i poczciwie. Lecz jednocześnie prawie zarumienili się oboje i wzrok spuścili ku ziemi.

Nie mówiąc ani słowa weszli razem do domu.

(*D. n.*)

UDZIAŁ CZECHÓW

W ROZWOJU OŚWIATY I NAUKI LEKARSKIEJ

w dawnej Polsce.

Przez

Huberta hr. Krasińskiego.

Przemówienie Szanownego Autora, jakie miał na zjeździe przyrodników lekarskich w Pradze Czeskiej dnia 27 maja, bieżącego roku, a ofiarowane braciom Czechom na pamiątkę tego zebrania, obejmuje tyle ciekawych szczegółów, że podanie ich choć w pobieżnem streszczeniu nie będzie bez interesu dla Czytelniczek Tygodnika.

„Wiadomo, powiada Autor, że mąż Dąbrówki, Mieczysław, w 965 r. przyjął chrzest z rąk Borowida, kapłana czeskiego, a za tym przykładem poszedł cały naród polski. Wiadomo, że kapłani czescy przemawiali do ludu naszego językiem zrozumiałym, oświecali go, uczyli, jednem słowem zaprowadzili u nas oświatę i zbliżyli Polskę do cywilizacyi zachodnio-europejskiej.

Któż nie wie, że w owych wiekach duchowni dzierżyli ster wychowania i kształcenia, że w ich rękach spoczywało berło umiejętności. Opactwa i klasztory były w owych czasach tem, czem są u nas dzisiaj uniwersytety, licea i towarzystwa naukowe. Nauka lekarska była też ulubionem zajęciem duchowieństwa, pod dozór którego oddawano szpitale dla ubogich, dla niedołężnych i zgrzybiałych.

Pobratymczy naród czeski, bliżej niż Polska ku zachodowi posunięty, wcześniej od nas Polaków mógł sobie przyswoić krzewiące się na zachodzie światło i nauki wszelkie.

Po zaprowadzeniu w Polsce nauki Chrystusowej, przybywać do nas zaczęli księża z różnych państw Europy, lecz księża ci nie znając języka miejscowego, niewielkie mogli w sprawie rozwoju oświaty przynieść korzyści. Starano się więc przedewszystkiem o sprowadzenie do Polski duchowieństwa czeskiego, a nawet za sprawą św. Wojciecha, Kraków był przyłączony (za Ottona I-go) do dyecezyi pragskiej, Jaromirowi zaś biskupowi pragskiemu dan był w roku 1086 przez Henryka III przywilej, w którym zakreślone są granice biskupstwa pragskiego i do tych granic włączony kawał Polski z miastem Krakowem. W Krakowie św. Wojciech kazał do ludu polskiego, a w miejscu gdzie miewał kazania, stoi po dziś dzień kościołek św. Wojciecha. Przez długi czas śpiewano u nas pieśni nabożne czeskie, jak naprzykład pieśń Boga Rodzica Dziewica, a pieśni czeskie zastępowały w Polsce miejsce narodowych. Zaczęto u nas używać języka czeskiego, jako więcej wygładzonego; w dziełach pozostałych z owej epoki, różnica dwóch mów polskiej i czeskiej bez porównania jest mniejszą od dzisiejszej. W późniejszych dopiero wiekach, przy rozwijaniu się obu języków, czeski odstąpił więcej od dawnego i dziś wprawnemu w czytaniu starych ksiąg polskich, łatwiej jest zrozumieć ówczesną mowę czeską od teraźniejszej.

Prąd naukowy wychodzący z Czech, skupiał się w Krakowie, ówczesnej stolicy polskiej. Za przykładem Karola IV-go, założyciela uniwersytetu w Pradze, w którym istniał wydział lekarski, Kazimierz Wielki ufundował w 1364 roku we wsi Bawole (pod Krakowem) szkołę lekarską. Wprawdzie Kazimierz założył był jeszcze w 1347 roku uniwersytet (studium generosum), lecz takowy składał się początkowo z 2-ch wydziałów: prawniczego we wsi Bawole i filozoficznego w Krakowie. Wydział zaś lekarski ufundowany został przez Kazimierza po założeniu szkoły lekarskiej w Pradze.

Za panowania Ludwika Węgierskiego, następcy Kazimierza W., upadła Akademia krakowska z powodu grasującego w Polsce powietrza morowego, i młodzież nasza rzuciła się tłumnie do uniwersytetu pragskiego.

O dźwignieniu z upadku uniwersytetu krakow-

skiego pomyślała dopiero Jadwiga, wnuczka Kazimierza Wielkiego, która przywróciła mu dawną świetność i chwałę. W przywileju nadanym wszechnicy krakowskiej, wyrażono życzenie, aby „jako Bononia i Padwa Włochom przyświecała a mocy sławy dodawała, *jako Praga Czechy oświeca i wynosi.*" Oprócz tego Jadwiga wyznaczyła znaczny fundusz na utrzymanie młodzieży polskiej w uniwersytecie pragskim, ufundowała w Pradze Czeskiej dom, domem królowej zwany, i na majątkach, zakupionych około Pragi, w dochody opatrzyła.

Władysław Jagiełło lubił mówić po czesku; za jego przykładem używano i w Litwie tegoż języka, a na dworze krakowskim wszyscy mówili i nawet listy po czesku pisywali. U dworu chwalono takiego mówcę, który najwięcej czeszczyzny mieszał. „Pierwej, gdy co zacnego w Polsce zmawiano, tedy to czeskim słowem zdzierżéć obiecano"—głosi Rej z Nagłowic. Toż samo twierdzi Górnicki: „drugi chociaż nie będzie w Czechach, jedno iż granicę szląską przejdzie, to już inaczej nie będzie chciał mówić, jedno po czesku."

Czesi mieli w XV wieku liczne stosunki z Polakami, wielu Polaków jeździło do Pragi, a nawzajem Czesi bawili w Krakowie, a jedni i drudzy oddawali się z zamiłowaniem nauce. Uczeń Akademii pragskiej Jan Iznery, biorąc przykład z Pragi, w której istniały bursy dla ubogiej uczącej się młodzieży i chcąc dać z siebie samego dobry przykład, założył w Krakowie swoim kosztem w 1409 roku *contuberium* czyli *bursam pauperum* dla ubogiej młodzieży przybywającej na nauki do Akademii krakowskiej.

W 1424 roku przybył z Czech do Krakowa lekarz Henricus Bohemus, profesor astronomii i astrologii, który przepowiedział, iż Władysław Jagiełło z królowej Zofii będzie miał synów. Wypadkowo przepowiednia ta się ziściła i królowa powiła Władysława Warneńczyka. Odtąd wielu uczniów zbiegało się do czeskiego lekarza i naukę o ciałach niebieskich wysoce cenić zaczęto. Badanie biegu i względnego położenia gwiazd, studya nad obrotem księżyca i planet, wymagające wielkiej znajomości geometryi i innych nauk matematycznych, stały się ulubionem zajęciem lekarzy i uczonych polskich. Z Krakowa pojechał do Pragi Marcin z Przemyśla i do czeskiego uniwersytetu jako magister przyjętym został. Z zebranych w Czechach pieniędzy złożył 1475 roku stały fundusz na katedrę pr. astrologii w uniwersytecie pragskim i był tam profesorem. Do udoskonalenia nauki astronomii w Pradze ogromnie się przyczynili *Tycho Brahe* i *Kepler*, którzy długo żyjąc w stolicy czeskiej, pozostawili w niej obserwatoryum astronomiczne, różne narzędzia i szacowne zbiory badań naukowych. Stolica Jagiellonów zasłynęła też w Europie z astronomii i matematyki a przy końcu XV stulecia (w 1492 roku) wykształcił się w niej najznakomitszy z nowożytnych astronomów Mikołaj Kopernik, dok. med.

Oświata w Polsce bardziej się rozkrzewiła po wynalezieniu sztuki drukarskiej przez Gutenberga, który był jak nowsze badania wykazały, Czechem i zwał się Janem z Kutnej Hory.

Licznych stronników mieli w Polsce Hussyci czescy, którzy koronę czeską w dom Jagielloński wnieśli, wezwawszy na tron swój Władysława Jagiellończyka. Hussowi sprzyjało wielu akademików krakowskich i panów polskich. Polemika religijna, która za przykładem Czechów cały naród polski zajmowała, wywarła wpływ przeważny na postęp nauk i oświecenie. Aby wejść w szranki sporów teologicznych, potrzeba było umiéć nietylko języki starożytne, nietylko znać naukę swej wiary, ale się wprawić do czytania pism świeżo wychodzących, pilnie przestrzegać czystości i poprawności swego języka i nie być obcym wiadomościom w innych naukach. Od czasów Zygmunta Augusta mnożyły się u nas dzieła po polsku pisane, a w liczbie ich i prace lekarskiej treści."

Pomijając szereg uczonych Polaków i Czechów, wzajemnie z Pragą i Krakowem utrzymujących stosunki naukowe, Autor dalej powiada, że w dawnej Polsce Czesi założyli mnóstwo szkół i że do udoskonalenia zakładów naukowych i do postępu w naukach przyczynili się najbardziej *Bracia czescy* (pikardyści), którzy w środku XVI wieku do Polski w liczbie 400 przybyli i mnóstwo szkół pozakładali.

Od czasu wstąpienia ich na ziemię polską do końca XVI wieku toczyły się u nas spory teologiczne po polsku, wśród których mnożyły się pisma a język ojczysty coraz dobitniejszym się stawał i kształcił się po wszystkich prowincyach naszych.

Dwa narody zachodnio-słowiańskie Czechy i Polska, zbliżyły się do siebie tembardziej, że *na tronie polskim zasiadł syn króla czes. Przemysława Ottokara II, Wacław król czeski*, i że *Czesi wezwali na królów swoich dwóch Jagiellończyków: Władysława* (brata Jana Olbrechta) i *Ludwika* (który był zabity w bitwie z Solimanem II). Nieraz się zanosiło na to, iż Czesi i Polacy pod jednem berłem zjednoczyć się mieli. Jednakże przez wpływ germański obydwa te narody oddaliły się, niestety, od siebie i poszły odmienną losów koleją. Z popiołów Husa i Hieronima z Pragi wynikła w Czechach sroga wojna husycka, która stłumiła krzewiącą się literaturę czeską i obróciła w perzynę wszystko to co Karol IV zbudował. Po krwawych wojnach husyckich nastąpiło zniemczenie Czechów, które przerwało związki Czech z Polską i jej literaturą. Rok 1618 był początkiem nieszczęsnej wojny 30-letniej, a w płomieniach jej niszczono narodowość i oświatę w Czechach. Pół miljona ksiąg i najpiękniejszych pomników literatury czeskiej zgorzało na stosach, nastąpiły egzekucye na szubienicach, wypędzenie 36 tysięcy szlacheckich rodzin czeskich i konfiskaty majątków w najobszerniejszych rozmiarach. Wsie i osady (jak twierdzi Polacky) zupełnie znikły, zgraja napływowa dobra te za bezcen kupowała, sprowadzała kolonistów niemieckich i powódź germańska zalała Czechy całe. Władza nie miała żadnej pobudki do pielęgnowania umiejętności i nauk w Czechach, któż bowiem wśród długiego prześladowania narodowości chciał myśléć o szkołach, o oświacie lub o nauce narodowej? Europa zapomniała o literaturze czeskiej i o takich jej dziełach jak np. *Orbis pictus*, ów pierwszy płód wynalazku wydań malowniczych. Znęcania się trwały wieki całe, a za panowania Józefa II zadano ostatnie śmiertelne ciosy narodowości czeskiej. Nietylko uniwersytet pragski oddany był Niemcom, lecz germanizm narzucony został wszystkim szkołom ludowym dla wynarodowienia Czechów. Arystokracya czeska, szlachta i stan miejski zniemczeli zupełnie i ojczyźnie się sprzeniewierzyli. Narodowość słowiańska Czech zdawała się zaginąć na zawsze, do takiego stopnia, że ojciec filologii słowiańskiej, znakomity Czech *Dubrowski*, pomimo najszczerszego przywiązania do ojczyzny swojej, wątpił o przywróceniu dawnej żywotności i wpływu Czechów i doszedł do przekonania, że język czeski ma tylko wartość archeologiczną (Rozprawa Dubrowskiego z roku 1791 o historyi Niemców w Czechach). Widzimy więc, iż tak okropny upadek narodowości słowiańskiej w Czechach nie mógł wywrzéć dodatniego wpływu na rozwój oświaty czeskiej. Jeden tylko lud wiejski, odcięty od szlachty, pogardzony przez mieszczan, zachował mowę rodzinną i podania ojczyste, pozostał przywiązanym do ziemi i do obyczajów przodków swoich i odmawiał modlitwę do *Św. Wacława*: *„Nie daj zaginąć nam przyszłym! Święty Wacławie, przyczyń się za nami!"*

I nie zginęliście!... Byt wasz narodowy zawdzięczacie swoim wielkim patriotom, a między nimi i sławnemu fizyologowi — chlubie narodu czeskiego, a naszemu przyjacielowi — Janowi Purkinij, który pisał po polsku znakomite swe dzieła lekarskie."

Prawda dla „Prawdy".

Żadne żyjące społeczeństwo nie może istniéć bez stronnictw i ich walk wzajemnych, które służą do rozjaśnienia i zgłębienia współczesnych prądów, na wszystkich polach życia społecznego.

Dość spojrzéć na Anglią, Francyą, Belgią i inne narody stojące na wyższym stopniu cywilizacyi, aby zobaczyć kilka lub więcej stronnictw nieprzyjaźnie dla siebie usposobionych. Stronnictwa te są nietylko polityczne lecz i religijne, ekonomiczne, społeczne i t. d. Walka wrze tam nieustanna, spory nie ustają, gdyż walka to życie, spokój to śmierć. Rozumiemy tedy i uznajemy w zupełności walkę o *zasady* — w imię których podnosi się sztandar i około którego grupują się zwolennicy.

Jednak tam, gdzie idzie o zamanifestowanie uczuć ogólnych krajowych, o honor lub godność narodu, o oddanie hołdu zasłużonemu obywatelowi, którego cały kraj uznaje za godnego takiego zaszczytu — tam giną walki i spory stronnicze — wszyscy łączą się wspólnie, gdyż wszyscy są synami jednego kraju.

Uznając tedy konieczność stronnictw, jesteśmy stanowczymi przeciwnikami tworzenia koteryi i separatystycznych dążności, które powstałe na gruncie indywidualnych przekonań, narzucają się na kierowników i przewodników całego stronnictwa, a na wet całego społeczeństwa i niewczesnym projektem kompromitują całe stronnictwo, a tego którego chcą uczcić, narażają na szwank.

A właśnie z takim objawem koteryjności i prywaty spotykamy się w „Prawdzie" Nr. 31, w artykule wstępnym p. t. „Odezwa".

Z okazji 25-letniego jubileuszu T. T. Jeża, proponuje redakcya „Prawdy" wydawnictwo książki zbiorowej pod tytułem „Ognisko".

W artykule tym zasługują niektóre ustępy na szczególniejszą uwagę, a chcąc zaznajomić nasze Czytelniczki z duchem tej odezwy i zarazem usprawiedliwić nasze wystąpienie, cytujemy je tutaj. „Niżej wymienione grono ludzi, pokrewnych Jeżowi duchem a pobudzonych obowiązkiem, chcąc uczcić tę drogą nam rocznicę pracy wielkiego pisarza, wyda pod jego imieniem książkę zbiorową „Ognisko"... Pierwsza to sposobność, powołująca ogół do nagrodzenia swego zasłużonego syna; mamy nadzieję, że ten obowiązek spełnimy tak rzetelnie i gorliwie, jak go na uroczystości drugiego znakomitego pisarza spełniliśmy niedawno...

„Wszystkie działy nauki i literatury, o ile ramy i warunki pozwolą, będą w niej uwzględnione... Liczba abonentów „Ogniska” stanowić będzie o materyalnem wynagrodzeniu 25-letniej pracy znakomitego pisarza...”

Rozpatrzmy się więc najpierw w samym projekcie. Redakcya „Prawdy” mimo swego wstrętu do wszystkiego co dawne, a wyszukiwaniu wszystkiego co nowe — poszła tym razem, odnośnie do swego projektu zbiorowej książki, torem utartym a co gorsza zużytym i wyzyskanym.

Podobne książki zbiorowe mieliśmy przy różnych jubileuszach np. dla Wójcickiego, „Kwiaty polne” dla Stalmacha, młodzieży lwowskiej dla Kraszewskiego i t. d. Pomysł tedy ani nowy, ani też pożyteczny, gdyż zwykle ma się na względzie tylko dochód materyalny, a mniej dba się o wartość treści, która w szczupłych ramach zamknięta, nie może nawet rościć sobie pretensyi do naukowej wartości.

A cóż dopiero, gdy wszystkie działy nauki i literatury, wraz z życiorysem jubilata i poglądem na jego działalność — mają się pomieścić na 30—40 arkuszach druku! Czy z konieczności materyalnej nie będą to li urywki z prac obszerniejszych tychże autorów? Lecz nie przesądzając wartości tej książki, czynimy uwagę, że powodzenie podobnej, zbiorowej książki zależy od współudziału sił literackich i naukowych, znanych całemu narodowi— a nie malutkiemu kółku przyjaciół i życzliwych.

A tymczasem owo grono ludzi wymienionych w odezwie składa się z pięciu literatów mniej więcej znanych, dalej idą: lingwista, chemik, matematyk, assyryolog, prawnik, geograf i jedenastu znanych tylko redakcyi „Prawdy”.

Każdy z owych literatów może napisać dobry artykuł, również ci specyaliści — ale czy to starczy na zachęcenie ogółu do kupna, czy książka taka będzie wyrazem hołdu całego kraju? Nam się zdaje, że nie. Wszak są jeszcze tacy, jak: Tarnowski, Bobrzyński, Szujski, Asnyk, Hausner i inni. Wszak są bliżsi Jeżowi po piórze jak: Sienkiewicz, Zacharyasiewicz, Kraszewski, Bałucki i t. d.

A jeśli szło o zamanifestowanie się jedynie stronnictwa postępowego, to i dlaczegoż nie ma tam: A. Wiślickiego, E. Grabowskiego, J. Święcickiego, W. Marrené, W. Przyborowskiego i innych, bądź co bądź bardziej znanych aniżeli współpracownicy „Prawdy”.

Zważywszy jednak na przysłowie: „Wolnoć Tomku, w swoim domku,” wolno było i redakcyi „Prawdy” zebrać grono osobistych znajomych i wydać ku swej uciesze a zadowolnieniu i ku bardzo problematycznej pomocy materyalnej dla Jeża, książkę zbiorową.

Lecz czy wolno „Prawdzie” jednoczyć powodzenie owego „Ogniska” z uznaniem całego społeczeństwa dla Jeża? Czy wolno swoje koteryjne wystąpienie równać z obchodem jubileuszu Kraszewskiego, w którym nie było nawet różnicy stronnictw a cóż dopiero koteryi?

Kazanie o pełnieniu obowiązku, mogła „Prawda” z pewną racyą zastosować tylko do tych ze swych czytelników, którzy się z nią konsolidują — ale nie może przemawiać w imieniu całego stronnictwa postępowego, a cóż dopiero w imieniu ogółu społeczeństwa, porozumiawszy się jedynie ze swymi osobistymi przyjaciółmi.

Z góry się zastrzegam, że wcale żadnej pretensyi nie mam do współpracownictwa w „Ognisku”, a również i to muszę wyznać, że mam to przekonanie, że należę do postępowych.

Występując przeciw projektowi i zastrzegając się osobiście, nie czynię tego w interesie własnym lecz podobnie jak redakcya „Prawdy”, tak też i redakcya „Tygodnika” reprezentuje pewną cząstkę opinii publicznej i wolno nam ją zamanifestować.

Idzie tu przedewszystkiem o Jeża. Gdy ten czcigodny jubilat przeczyta spis owych hołdowników, czyż nie zapyta się o innych? o znanych? Czyż z innych obozów nikt w takiej chwili uroczystej nie stanie przy nim? Czyż nikogo nie ma już we Lwowie, Krakowie, Poznaniu, któryby serdecznie uścisnął dłoń? A dalej takie stronnicze i koteryjne wystąpienie rozdrażnia namiętności wówczas, gdy one umilknąć powinny — rzuca w wir sporów sprawę, której najpiękniejszą ozdobą powinna i musi być zgoda — wywołuje wreszcie naturalną reakcyą w innym obozie i co za tem idzie zobojętnia szerszy ogół dla jubilata.

Gdyby to była sprawa osobista kierownika „Prawdy”, gdyby ona dotyczyła jedynie jego zwolenników i przyjaciół, niktby ostatecznie nie miał prawa mieszać się w tę sprawę.

Lecz ponieważ owa „odezwa” zwraca się do ogółu, czyni go odpowiedzialnym za powodzenie swego eksperymentu, używa nazwiska Jeża jako jubilata — zatem wypełniamy nasz obowiązek zakładając ten protest.

Nie wątpimy, że bardzo znaczna większość literatów i dziennikarzy polskich, wykluczona ostracyzmem „Prawdy”, po wspólnem porozumieniu postawi projekt obchodu jubileuszu T. T. Jeża, godniejszy i odpowiedniejszy Jego zasługom i o ile słyszeliśmy, to L. Jenike, redaktor „Tygodnika Illustrowanego” ma wziąć inicyatywę.

Powstrzymujemy się tedy od wszelkich projektów, oczekując rychłego odezwania się sędziwego i zasłużonego redaktora.

W RÓŻOWEM ŚWIETLE.

POGADANKA.

Pod adresem redaktora, otrzymałem jako kronikarz list od jednej Czytelniczki „Tygodnika”, którego wyjątki pozwalam sobie tu umieścić.

„Szanowny panie Redaktorze! Autor pogadanek w „Tygodniku” pisze swe artykuły widocznie w chwilach gwałtownego zniechęcenia i zupełnego upadku energii, jest to dla niego rzecz bardzo przykra, ale nie powinien się dziecinnić i wierzyć chorobliwemu przekonaniu, że takie zniechęcenie do świata i ludzi jest naturalnym objawem psychologicznym. Tylko mądrej cierpliwości a zniechęcenie ustąpi.

„Wiem, że są chwile boleści i rozpaczy, gdyśmy stracili na zawsze drogą nam osobę — lecz czyż to godnem jest człowieka poddać się fatalistycznie losowi i na wszystko i wszystkich patrzeć niechętnie i apatycznie?

„Człowiek powinien coś jednego ukochać stale, na całe życie, tak, aby jego miłość tworzyła mu prawa, aby we wszystkiem do niej się odnosił, aby ona rozwiązywała mu wszystkie rozwiązać się na świecie dające wątpliwości. Naturalnie nie może to być miłość dla człowieka, ale miłość dla pewnego porządku moralnego.

„Otóż człowiek, który taką miłość ma w swem sercu, będzie wyrozumiałym i nietylko ujemne lecz i dodatnie strony zobaczy w objawach życia moralnego i fizycznego.”

Taki był wstęp listu, a dalej autorka jego wypomina mi moje błędy i niedostatki, dotyka lekko różnych kwestyi, a szczególniej mówi o posiedzeniach Towarz. pedagogicznego nad *Prutem* w Kołomyi.

Słowa te i rady skłoniły mnie do rozpatrzenia się w bieżących sprawach.

I oto w kwestyi *wychowania* spotkałem się z artykułem bardzo zajmującym a gruntownie napisanym w „Słowie”, pod tytułem „Brak miejsc w szkołach publicznych i środki zaradcze przeciwko niemu”. Autor dopomaga się bardzo słusznie zakładania t. z. szkół miejskich, któreby ogólnie wykształciły ludzi młodych, poświęcających się następnie zawodom przemysłowym i specyalnym — a w końcu wzywa municypalności miast do inicyatywy.

Artykuł ten uważamy jako nowy zwrot w kierunku redakcyi „Słowa”, która dotychczas specyalnie zajmowała się europejską polityką i klerykalizmem.

Ten sam zwrot ku żywotnym sprawom społecznym i krajowym widzimy i w „Echu”. Pismo to zarzuciło dawniejszy system zapełniania szpalt encyklikami i korespondencyami z Rzymu i Krakowa, a jęło się pracy pożytecznej, około poprawy stanu kraju.

W kwestyi *języka polskiego* zabrały „Nowiny” głos w dwóch wstępnych artykułach p. t. „Własna wina”. W poprzednim numerze naszego pisma poruszyliśmy tę sprawę głównie ze stanowiska towarzyskich stosunków — „Nowiny” zwracają zaś uwagę na postępy germanizacyi ze stanowiska ekonomicznego. Nie mniej na uwagę zasługują artykuły „Nowin” jak: „Rozwody” i „Zapis”. Ostatni artykuł odnosi się do filantropijnego testamentu D-ra Józefa Chwiećkowskiego, który cały swój majątek około 80,000 rubli zapisał na krzewienie oświaty społecznej.

Sprawy miejskie znalazły w „Kuryerze Codziennym” dzielnego a bezstronnego obrońcę. Pismo to rozwija się pomyślnie i przy apatyi bezbarwności innych pism brukowych zyska niewątpliwe powodzenie.

Poważna nauka wzbogaciła się cennem dziełem „filozofii Langego”, wydanego nakładem B. Lesmana, również wyszedł drugi tom „Pamiętnika fizyograficznego”, następnie mamy poważne a jedyne w swym rodzaju dzieło gospodarskie J. Sypniewskiego p. t. „Owczarstwo”. Wreszcie godzi się zanotować podręcznik, wysoko ceniony przez znawców p. t. „Pszczelnictwo” przez K. Lewickiego, założyciela muzeum pszczelniczego w Warszawie.

Wymienione dzieła dają chlubne świadectwo o rzetelnej, poważnej a skutecznej pracy rozwijającej się nieustannie mimo nie zawsze sprzyjających warunków.

W zakresie *sztuk pięknych* mamy do zanotowania miły dla nas fakt, że w znanej akademii monachijskiej, zostającej pod kierunkiem Pilotti'ego, pozyskali złote medale pp. Koniuszko, krakowianin, i Lenc warszawianin, za swe studya. Również nasze tygodniki illustrowane porzucają manię pomieszczania zagranicznych drzeworytów, a zwracają się ku bliższym nam przedmiotom. Na szczególną uwagę zasługuje „Tygodnik Powszechny” w którym znaleźliśmy wierne a pięknie wykończone typy ludowe z Pokucia.

I sam już nie wiem, czy to wpływ autorki listu, czy też ja się tak zmieniłem — ale gdy spojrzę na

szereg wymienionych faktów, gdy z poszczególnych tych objawów układam obraz ogólny — to widzę wszędzie szlachetne usiłowania, dążące ku dobremu i pożytecznemu.

Z drobnych a różnobarwnych kamyków układa się wspaniała mozaika — a takie objawy żywotności stają się cegłami, z których wzniesiemy wspaniały budynek.

Nie polityką europejską i śledzeniem tajemnic dyplomatycznych, ale pracą w kraju, ale przyswojeniem sobie owoców cywilizacyjnych, dojdziemy do celu...

Certus.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Redaktor „Ogrodnika polskiego" p. Edmund Jankowski, podał projekt urządzenia wokoło Warszawy plantów na wzór otaczających Kraków. Zdaniem projektodawcy, planty warszawskie powinnyby rozpocząć się od brzegu Wisły przy rogatkach Czerniakowskich, okrążyć całe miasto i zbiegnąć znów do Wisły po stronie dworca drogi żelaznej Nadwiślańskiej, obok mostu kolejowego. Cały brzeg Wisły zdobiłby odpowiednio urządzony bulwar. Projekt piękny i tak pod względem zdrowia jak przyjemności bardzo dla Warszawy pożądany, ale wykonanie jego nastręcza nader trudne do zwalczenia przeszkody — a najpierw znacze koszta, na które miasto nie ma funduszu.

*** Piękny przykład uznania pracy dał p. Feliks Sobański, właściciel dóbr Guzowa. W drugiej połowie z. m. upłynęło lat 25 od chwili jak objął te dobra i prowadzi gospodarstwo, z tej więc okoliczności wyprawił ucztę dla wszystkich wogóle swoich pracowników i oficyalistów, a nie dość na tem, wyznaczył 30,000 rs. na gratyfikacye pieniężne, odpowiednio do lat służby i położonych zasług. Najdawniejsi i najzasłużeńsi oficyaliści otrzymali po 5000, 4000 i 3000 rs. i tak dalej stopniowo; nie zapomniano o nikim, nawet dla owczarków przeznaczono po 10 rs.—Jeden z oficyalistów zostający w obowiązku u p. S. od czasu objęcia przez tegoż dóbr Guzowa, odznaczający się gorliwością i przychylnością, który z powodu choroby dłużej służyć nie może, otrzymał 300 rs. dożywotniej pensyi, a żona jego dom i dwanaście morgów gruntu, z odpowiednim inwentarzem. Oby piękny przykład p. S. jak najwięcej znalazł naśladowców!

*** Minęło lat 80 jak Chateaubriand napisał swoich „Les Martyrs"; obecnie zwrócono uwagę że pomieszczony w nich ustęp możnaby uważać za proroctwo, w połowie już spełnione. „Ach! mówi, jakże znikome są dzieła człowieka! jak znikomą istotą jest sam człowiek, choćby najznakomitszy. Ta pyszna Aleksandrya, zarówno jak jej założyciel zniknie kiedyś z widowni świata, nadejdzie dzień w którym stanie się ona pastwą trzech pustyń dokoła; morze, piasek i śmierć zapanują nad nią, jako nad swojem dziedzictwem, a na stosach jej gruzów znowu Arabia rozbije swoje namioty." Czytając dziś ten ustęp, trzeba wnosić że Chateaubriand pisał go pod wpływem jasnowidzenia.

*** Z powodu odsłonięcia pomnika wzniesionego dla autora „Marsylianki" p. Rouget de l'Isle, w Choisy-le-Roi, dziennik „Rappel" przytacza następującą anegdotę. Rouget de l'Isle miał brata który był jenerałem brygady. Po rewolucyi lipcowej, jenerał rozmawiał z jedną z dam dworu królowej Maryi Amelii i ta zapytała go dlaczego podał się do emerytury, nie otrzymawszy jeszcze stopnia jenerała dywizyi do którego najzupełniejsze miał prawo.— „Dla czego, rzekła pani D. i restauracya i Ludwik Filip nie pamiętali o panu?" — „Z powodów czysto familijnych, łaskawa pani, odrzekł jenerał — mam bowiem synowicę która mi bardzo zaszkodziła" — „Jaką synowicę?"— „Córkę brata mojego"— Czyż brat pana pozostawił córkę?—„A tak, „Marsyliankę" i tej to kompromitującej synowicy nigdy nie chciano mi wybaczyć."

*** Gazeta „Zuricher Post" podaje nader dramatyczne zajście na okręcie duńskim wracającym z Indyi wschodnich do Europy, opisane przez naocznego świadka:

„Wracałem, mówi, na duńskim kupieckim okręcie. Był to doskonały żaglownik; wśród osady wzorowa panowała karność. Pierwszy porucznik odznaczał się nadzwyczajną pięknością; osada go uwielbiała, pasażerowie polubili go serdecznie. Doskonałą harmonię panującą na okręcie, psuł jedynie kucharz, hardy i podstępny Portugalczyk, prawie codziennie ściągający na siebie karę. W chwili, o której mówię, został uwolniony właśnie ze ścisłego bardzo aresztu, na który skazał go pierwszy porucznik, za usiłowanie otrucia jednego z majtków. Portugalczyk postanowił krwawo zemścić się za to.

Wieczorem dnia tego porucznik przechadzał się po pokładzie wraz z narzeczoną swoją, gdy nagle przypadł kucharz, ugodził go nożem w piersi i zabił na miejscu. Narzeczona padła bezprzytomna; rozwścieczona osada chciała natychmiast rzucić się na mordercę i rozszarpać—nie dopuścił tego kapitan i kazał okuć w kajdany zabójcę.

Na drugi dzień pasażerowie otrzymali wezwanie od kapitana, aby zgromadzili się na pokładzie o 9-tej wieczorem.—Spełniliśmy polecenie. Zastałem całą załogę i oficerów w świątecznych strojach. Część osady będącej na służbie, tworzyła szpaler po obu stronach pokładu. Na tylnym jego krańcu stał kapitan ze sztabem oficerskim; w środku, na nizkim katafalku, nad którym powiewała duńska narodowa chorągiew, leżały martwe zwłoki porucznika. Byliśmy prawie na równiku; na morzu zupełna panowała cisza. Byłem przekonany że zaproszono nas na pogrzeb zamordowanego, gdy wtem dał się słyszeć odgłos miarowych kroków. Straż okrętowa z dobytemi pałaszami przyprowadziła mordercę do katafalka, na którym spoczywała jego ofiara, poczem cofnąwszy się o kilka kroków, utworzyła czworobok. Zadziwiło nas to sprowadzenie zabójcy — czyżby chciano aby był świadkiem pogrzebu ofiary swej zbrodni?

Wtem drugi porucznik rozwinąwszy zwój pargaminowy, odczytał dokument, wydany przez admiralicyą, nadający kapitanowi prawo odbywania sądu wojennego i natychmiastowego wykonania prawomocnie zapadłych wyroków. Skończywszy zapytał więźnia: czy zgadza się na prowadzenie sprawy w języku duńskim, a gdy tenże nic nie miał przeciw temu, sąd wojenny został zagajony. Nagle ściągnięto chorągiew osłaniającą twarz zmarłego, i sam nawet morderca zadrżał na widok swej ofiary. Badanie było krótkie i uroczyste— zbrodnia była udowodnioną, a morderca jednozgodnie uznany winnym.

Wtedy kapitan i oficerowie wystąpili naprzód— kapitan ogłosił wyrok. Nie rozumiejąc języka duńskiego, zadziwiłem się bardzo widząc jak bezczelny i zakamieniały zbrodniarz nagle padł do nóg kapitana, błagając łaski, on który bynajmniej nie lękał się śmierci, ani też nie żałował popełnionej zbrodni. Wtem wystąpiło czterech majtków i podnieśli zamordowanego — czterech innych pochwyciło więźnia, a dziesięciu jeszcze prędko zbliżyli się do nich; zrozumiałem teraz przestrach zbrodniarza, widząc iż przywiązano go tak silnie plecami do pleców jego ofiary, iż ani drgnąć nie mógł—poczem usta zatkano mu chustką. Obaj— nieboszczyk i żywy, złożeni zostali na katafalku; ksiądz odczytał krótkie modlitwy, a gdy skończył, mordercę razem z zamordowanym wrzucono w morze i w mgnieniu oka znikli w niezgłębionych nurtach. Straszna ta scena ciągle stoi mi przed oczyma."

*** Inspektor skarbowy w Algierze, p. Tarri, który kilka miesięcy przebywał w dolinie Wed-Mia dla robienia poszukiwań, nadesłał sprawozdanie o zabytkach przeszłości w Algierze, odczytane na posiedzeniu paryzkiej *Académie des suscriptions et belles lettres*. P. Tarri znalazł tam zabytki berberyjskiej kultury, odnoszące się do epoki drugiego napadu Arabów na Afrykę. Dzisiejsi mieszkańcy doliny są to biedni i ciemni Arabowie, hodujący palmy daktylowe. Przed wieki było tam całkiem inaczej; dolina była licznie zaludnioną, wznosiły się w niej bogate miasta, pełne wspaniałych gmachów. Obecnie z wielką tylko trudnością daje się odszukać szczątki starożytnych grodów, pod grubą warstwą ziemi i piasku, lecz po dziś dzień zbiera się tu corocznie plemię Moabitów opłakiwać świetną minioną przeszłość, w miejscu gdzie niegdyś istniało miasto Sedra. Szirk-Sajach, teraźniejszy szeik tej miejscowości, który dowodzi, że jest potomkiem dawnych sułtanów, wręczył p. Tarri rękopism opisujący dzieje doliny, ciągnącej się na przestrzeni 40 kilometrów od miasta Efran na północy do Dżebel-Chatu; p. Tarri dokonał w miejscowości tej poszkiwań, świetnem uwieńczonych powodzeniem. Między innemi odkrył pod piaskiem starożytny meczet, piękny pałac i kilka innych budynków. Odkrycia te p. Tarri rzucają nowe światło na starożytną cywilizacyą Afryki.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 28 Іюля 1882 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 32, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

— To co pan mówisz, dowodzi tylko iż różnimy się w zdaniach, odrzekł grzecznie pan Game. Ale możesz sir być pewnym, iż przed tobą więcej niż przed kimkolwiek ukrywanoby obecność Salter'a w Labiryncie.

— Nie zastanawiasz się pan że tem przypuszczeniem znieważasz mistress Grey

— Ale może ten Salter jest jej krewnym, mężem... lub nareszcie bratem. Jeźli mnie pamięć nie zawodzi, podobno miał siostrę. W takim razie nie podlega wątpliwości, że mistress Grey — jak nazywać się każe — najstaranniej ukrywałaby to przed tobą, sir Karolu.

Biedny Karol nie wiedział co odpowiedzieć; coraz więcej zawikłań sieć swoją roztaczało w koło niego.

— Ale wszakże Tatton odbył w Labiryncie najściślejszą rewizyę, od strychu do piwnic.

— Niczego to nie dowodzi jeszcze, chyba tylko że przy pierwszej rewizyi nie wykryto wszystkich kryjówek, była więc nie dość ścisłą.

— Przy pierwszej rewizyi! a więc na niej nie koniec; tak więc coraz więcej grunt usuwał się z pod nóg Karola!

— Wierzaj mi pan że jest to przypuszczenie całkiem błędne, rzekł po chwili. Ręczę panu honorem, tak szczerze i uroczyście jak nie ręczyłbym za nic innego w świecie, że Saltera nie ma i nigdy nie był w Labiryncie. *A wiem to doskonale.* Od czasu do czasu, odwiedzam słabą mistres Grey w jej samotni; mogę więc ręczyć za to co mówię.

Złośliwy uśmiech przebiegł po ustach urzędnika policyjnego.

— Tak, rzekł słyszałem że od czasu do czasu wieczorem odwiedzasz sir mistress Grey, która ma być podobno bardzo ponętna.

Karol nie zrozumiał w pierwszej chwili co pan Game dawał do zrozumienia, a gdy pojął znaczenie słów jego, zadrżał z oburzenia. Może nikt jeszcze nie spojrzał na pana nadintendenta tak dumnie i surowo.

— Przepraszam, sir Karolu... był to tylko żart.

— Bardzo niewłaściwy, panie Game. Mam żonę.

— *Cóż to znaczy*—chciał powiedzieć pan nadintendent — gdyż był przekonanym że odgadł rzeczywisty powód wieczornych wycieczek sir Karola; ale wyraz twarzy tego ostatniego nie dozwolił mu dotykać dłużej tego przedmiotu. Karolowi pan Game wydał się rażąco poufałym i lekkomyślnym. Uczuł żywo zniewagę wyrządzoną żonie jego brata, prawdziwej lady Andinnian, i nie przyszło mu nawet na myśl że toż samo podejrzenie powzięły inne jeszcze osoby, znane mu lepiej... a nawet własna jego żona.

Karol zabawił już zaledwie parę minut dłużej, i oddalił się niepewny jakie wrażenie sprawiły jego słowa, i czy zabezpieczą Labirynt od powtórnego najścia. Pan nadintendent Game nie dał żadnej stanowczej odpowiedzi, obiecał tylko że przez wzgląd na niego pomyślą o zaniechaniu tych poszukiwań. Byłoby to dostatecznem gdyby nie to nowe znów powikłanie, czyli raczej nie to nowe podejrzenie że Smith czuwa nad bezpieczeństwem Salter'a. Udzielono mu tylko zapewnienie że osobista spokojność mistres Grey nie zostanie już naruszoną, co jednak nie oznaczało że nienaruszą także spokojności jej domu.

Zaledwie Karol wyszedł, pan nadintendent zadzwonił i kazał przywołać do siebie Tatton'a. Rozmawiali z sobą długo, rozważali starannie wszystko co można było powiedzieć za i przeciwko prowadzeniu dalszych poszukiwań, w końcu pan Tatton odebrał rozkaz powrotu do Foxwood.

Karol udał się prosto do dworca kolei, a wkrótce potem przybył pośpiesznym pociągiem do stacyi Foxwood, zkąd udał się piechotą do domu. Gdy wszedł do parku, Hewitt — który rozmawiał z żoną ogrodnika, dla tego jedynie aby się nie domyślono że czeka na pana — wybiegł na jego spotkanie i poszedł z nim razem do domu.

— Obawiam się czy nie przytrafiło się cóś złego w Labiryncie, sir Karolu, rzekł cicho, obejrzawszy się pierwej czy ktoś nie może usłyszeć.

— Cóś złego! w Labiryncie! zawołał Karol z najżywszem przerażeniem.

— Tak, ale nie to, dzięki Bogu, czego się obawiasz, sir Karolu. Sir Adam zachorował.

— Cicho Hewitt'cie... nie wymieniaj nazwiska. Zachorował? Cóż mu jest? kto ci powiedział?

— Pani posłała mnie z listem do mistress Patchett, i wracając spotkałem Annę Hopley biegnącą od stacyi. Powiedziała mi że pan zachorował nagle i tak ciężko że trzeba było koniecznie zawezwać doktora. Nie śmiała przywołać pana Moore, obawiając się aby to nie dało powodu do nowych plotek i domysłów, i dla tego zawezwała telegrafem innego.

— Gdzież i do kogo telegrafowała?

— Do doktora Cavendish, z Basham.

Z piersi Karola wydobyło się ciężkie westchnienie. Co chwila spadały na niego nowe troski i udręczenia, bo zrozumiał od razu całe niebezpieczeństwo podobnego kroku.

— Czy nie wiadomo ci, Hewitt'cie, co mu jest?

— Zemdlał znów, sir Karolu; tylko że tym razem zamdlenie było tak długie i ciężkie że nie można go było niczem ocucić: zdawało się że już nie żyje, i mistress Grey zrozpaczona, odchodząca prawie od zmysłów, wymagała aby przywołano doktora. Obecnie odzyskał już przytomność i jest lepiej dodał Hewitt, i zdaje mi się, sir Karolu, że nie ma konieczności abyś go dziś odwiedził. Spacerowałem długo koło bramy Labiryntu, chcąc się czegoś dowiedzieć, i gdy Anna przyszła otworzyć bramę, dowiedziałem się od niej że leży jeszcze, ale już zupełnie odzyskał przytomność.

— Nie rozumiem co jest powodem tych strasznych ataków, rzekł Karol. Czy doktór już był?

— Jeszcze nie, sir Karolu.

— Karol zdjął kapelusz i potarł ręką rozpalone czoło. Spostrzegł żonę siedzącą pod drzewem i udał się do niej. Bladość Łucyi, jak i wyraz smutku i znużenia malujący się na jej twarzy, uderzyły go w oczy zaraz za pierwszem spojrzeniem.

— Czy to dobrze, Łucyo, że siedzisz tu do tej pory? zapytał siadając obok niej na ławce.

— Dlaczegóż nie miałabym tu siedzić?

— Rosa zaczyna opadać, i obawiam się aby ci to nie zaszkodziło.

— O! nie będzie mi nic; a zresztą, mniejsza o to?

Te słowa wypowiedziane na pół obojętnie, na pół z wyrzutem, odbiły się boleśnie w sercu Karola. Zrozumiał ukryte ich znaczenie — z jego winy, życie stało się ciężarem dla Łucyi. Nerwy jego były już rozdrażnione do najwyższego stopnia, niepokój i moralne cierpienia odejmowały mu siły.

— Łucyo, nie powiększaj dziś udręczeń moich wymówkami, Bóg widzi że ciężar ich już i tak obarcza mnie zbytecznie.

W głosie jego, gdy to mówił, czuć było tyle smutku, tyle goryczy że w duszy Łucyi odezwały się jej wrodzone szlachetne uczucia. Westchnęła zwracając na niego oczy.

— Pragnęłabym bardzo, Karolu, abym mogła dla naszego wspólnego dobra, polepszyć obecne nasze położenie.

— Nie trzeba przynajmniej pogarszać go jeszcze wszelkiemi sposobami, Łucyo...

— Dokończ, rzekła łagodnie gdy się zatrzymał.

— Upadam pod brzemieniem trosk, obawy, zmartwień; gdziekolwiek zwrócę oczy tak w domu jak po za domem, nigdzie znaleźć nie mogę ani promyka szczęścia ani najdrobniejszej pociechy któraby podtrzymywała moje siły; nie dziw się więc jeżeli niekiedy życie staje się dla mnie nieznośnym ciężarem.

— Czy pomyślnie załatwiłeś dziś interesa w Londynie? zapytała po niejakim czasie.

— Najniepomyślniej pod każdym względem, a wróciłem tu po to aby spotkać nowe i ciężkie przykrości: w domu czekały mnie dotkliwe wymówki; za domem straszniejsze jeszcze obawy. Widać że przeznaczono mi przekonać się osobiście o prawdziwości starego przysłowia: „Człowiek zrodzony do cierpienia, jak iskra aby uleciała i zgasła w powietrzu.

Spojrzał na zegarek, wstał i poszedł do domu nie dodając już ani słowa. Łucya ścigała go wzrokiem pełnym współczucia — a zarazem niepewności; jak w tej chwili właśnie, nie mogła zrozumieć męża.

XIV.

Nowe poszlaki.

Karol Andinnian, widząc że wszystko co tylko przedsięweźmie dla zapewnienia bratu spokoju i bezpieczeństwa, pociąga za sobą tylko zgubne skutki, zadawał sobie pytanie czem zasłużył na tak ciężką karę Nieba. Biedny Adam pokutował srodze za swe przewinienia; zawistny los nie pozostawiał mu teraz ani jednej spokojnej chwili.

— Róża i Anna Hopley wezwały telegramem doktora Cavendisch z tem przekonaniem że przybędzie do Foxwood pierwszym zaraz pociągiem, przyjdzie do Labiryntu i odejdzie ztamtąd na stacyę bez zwrócenia na siebie czyjejś uwagi. Tym-

czasem doktór Cavendish nieobecny w domu gdy przyniesiono telegram, przyjechał znacznie później swemi końmi, i zostawił tilbury przed bramą Labiryntu. Wtenczas to los złośliwy sprowadził tam pana Moore, który wyszedł na przechadzkę ze swą córką Żeminą. Zadziwił się bardzo spostrzegłszy dobrze sobie znane tilbury;—do kogóż tu wezwano doktora Cavendisch?

— Czekasz na pana, james, zapytał zbliżając się do grooma. Do kogóż przyjechał? Któż to zachorował?

— Ktoś tam proszę pana, odpowiedział groom wskazując ręką za siebie.

— Gdzie? W Foxwood-Court? zapytał pan Moore.

— Nie, panie, w Labiryncie.

— W Labiryncie? A któż tam zachorował.

— Nie wiem tego. Telegrafowano dziś do pana prosząc aby przyjechał jak najśpieszniej.

Po chwili doktór Cavendish ukazał się przed bramą i pan Moore pośpieszył naprzeciwko niego.

— Zapewnie, kolego, wezwano cię do mistress Grey, rzekł podając rękę. Czy to recydywa? Dziwi mnie to że nie przysłali po mnie... Wyleczyłem ją nie dawno z ciężkiej choroby.

— Mistress Grey? odpowiedział pan Cavendish! O! nie. Przywołano mnie do jakiegoś gentlemana.

— Do jakiego gentlemana? zapytał z zadziwieniem doktór Moore. Nie ma żadnego gentlemana w Labiryncie.

— Obecnie jest. Zepewnie musi to być jakiś kuzyn mistress Grey.—A! miss Żemina... zawsze śliczna i świeża jak różyczka... rzekł zwracając się do zbliżającej się ku nim wolno córki pana Moore. Czy nie mogłaby pani udzielić nam, wybladłym od ciągłej pracy, recepty na tak uroczą świeżość?

— Cóż mu jest? przerwał pan Moore.

Pan Cavendish wziął pod rękę kolegę, odprowadził go na stronę, i odpowiedział tak cicho iż Żemina nie mogła usłyszeć.

— W takim razie, to choroba niebezpieczna! powiedział głośno pan Moore.

— Bezwątpienia; a co więcej zadawniona, co ją czyni tem groźniejszą że dotąd nie leczył się wcale, nie wiem dla jakiego powodu.

— Skoro tu już jesteś, kolego, rzekł pan Moore przechodząc do innego przedmiotu, to może zechcesz poświęcić kilka minut czasu biednej, niebezpiecznie chorej kobiecie.

— Najchętniej. Któż to taki?

— Jest to mistress Whittle, wdowa po człowieku zmarłym nagle zeszłego lata. Ciągle słaba od śmierci męża, zachorowała teraz ciężko, i zdaje mi się że nie zdołam jej uratować. Wczoraj przyszło mi właśnie na myśl że byłoby dobrze gdybyś ją odwiedził, i cieszę się bardzo że cię spotkałem. Mieszka nie daleko ztąd, nie zajmie ci to zatem wiele czasu. Wsiedli do tilbury, doktór Cavendish wziął lejce, a groomowi kazał iść za sobą pieszo. Miss Żemina była także zmuszona wrócić sama do domu. Była to dziewczynka ładna, z cerą świeżą z gęstemi ciemno blond włosami, śmiała i energiczna. Można było mieć nadzieję że z czasem zdrowy rozsądek weźmie u niej przewagę nad lekkomyślnością młodości, i że wtenczas stanie się podobną z usposobienia do swej ciotki, Dyanny którą już i tak przypominała pod wielu względami.

Zaczynało się już zmierzchać; miss Żemina namyślała się czas jakiś którą ma wracać drogą, czy okrążając Foxwood Courc, czy prosto przez wieś? Ostatnia droga krótsza i nie tak pusta; zresztą... mogłaby się spotkać w tej stronie z panem Cattacomb wracającym lub idącym do kaplicy; tak, najlepiej wybrać tę drogę. Odwróciła się szybko powziąwszy to postanowienie, i o mało co nie potrąciła pana Enen, wracającego z Londynu, który idąc od stacyi, nadłożył znacznie drogi aby przejść koło Labiryntu. Złośliwy los sprowadził go tam wtenczas właśnie gdy tilbury doktora stało przed domem, zatrzymał się nieco dalej za płotem i widział jak dwaj doktorzy rozmawiali z sobą.

— Jakto! pan tutaj, panie Enen? zawołała śmiejąc się. Mistress Jinks mówiła nam po południu że pan dziś nie wróci do domu.

— Skoro wybieram się na jakąś dalszą wycieczkę nie wiem sam kiedy wrócę; wieś w jesieni ma dla mnie bardzo wiele powabu. Zdaje mi się, miss Żemino, że to był powóz doktora?

— Tak, doktora Cavendish z Basham, odpowiedziała miss Żemina, która równie jak większa część jej rowiennic uczęszczających do pana Cattacomb, znała dobrze ajenta policyjnego i rozmawiała z nim często, nie domyślając się wcale kim był rzeczywiście.

— Musi tu leczyć kogoś.. ale ciekawy jestem kogo.

— Ojciec zadawał sobie przed chwilą toż samo pytanie. Doktór Cavendish został wezwanym do Labiryntu.

— Czy nie wiadomo pani kto tam chory?

— Mówili, o ile mi się zdaje, że jakiś gentleman, ale nie jestem pewna.

— Gentleman?

— Tak sądzę. Jestem pewna że mówili *on*. Może przyjechał mąż mistress Grey. Ale ktokolwiek to jest musi być bardzo chory, bo słyszałam jak ojciec powiedział: „w takim razie to choroba ciężka i bardzo niebezpieczna“, a doktór Cavendish potwierdził to zdanie.—Pojechali teraz razem do tej biednej mistress Whittle.

Pan Enen, nigdy jeszcze odkąd zajmował się tą sprawą, nie odebrał tak pożądanych wiadomości. Nie wątpił o tem że to Salter zachorował o tyle niebezpiecznie że trzeba było wezwać doktora.

— Trzeba przyznać że mistress Grey postąpiła bardzo niegrzecznie; powinna była wezwać pierwej mego ojca, skoro on ją uleczył.

— Może to zachorował ten stary ogrodnik, rzekł ajent po chwili milczenia.

— Mogłoby to być, odpowiedziała Żemina, bo to człowiek stary i schorowany. Jednak wątpię... nie telegrafowanoby dla niego po doktora, skoro go mają tak blizko.

— A! więc zawezwano telegrafem doktora Cavendisch?

— Tak przynajmniej mówił groom.

— Ma słuszność, pomyślał ajent, nie zadawanoby sobie tyle trudu dla Hopley'a. To z pewnością Salter... i woleli wezwać człowieka obcego i mieszkającego daleko, niż posłać po pana Moore, który mógłby się z czemś wymówić przed sąsiadami. Nie domyślasz się nawet, moja panienko, dodał w myśli jak wielką oddałaś mi przysługę!

Pan Enen był tak niegrzecznym że nie ofiarował się odprowadzić miss Żeminy, która czuła się tem obrażoną, gdyż nie miała nic przeciwko temu aby jej wszyscy składali hołdy, jakkolwiek może najmilszemi jej były te które pochodziły od jednego z wielbicieli. Pocieszała się na sposób lisa nie mogącego dosięgnąć winogron:

— Prawdziwy niedźwiedź z niego! rzekła idąc śpiesznie. Ale, tem lepiej! Mógłby nas spotkać pan Cattacomb i rzucić na mnie spojrzenie tak przeszywające jak ostrze sztyletu, albo też... co gorzej jeszcze, ciotka Dianna!

Pan Enen poszedł dalej zastanawiając się głęboko nad tem co usłyszał. Najprzód powinien koniecznie pomówić z panem Cavendish, i dowiedzieć się od niego do kogo był wzywanym. Nie było to rzeczą całkiem niemożliwą aby Hopley był tym chorym; może mistress Grey miała jakąś niechęć do pana Moore, lub też stary ogrodnik zachorował tak niebezpiecznie, że wolała posłać po doktora posiadającego wziętość i więcej doświadczenia, niż lekarz niejaki. Według jego zdania nie było to bardzo prawdopodobnem, ale pomimo to możliwem, i jeden tylko doktór Cavendish mógł wyprowadzić go z niepewności.

Pan Enen miał nadzieję że będzie mógł pomówić z doktorem Cavendisch, skoro ten wyjdzie od mistress Whittle, zawiódł się jednak, widział tylko zdaleka że obydwaj doktorzy jechali razem przez wieś, a gdy pan Moore wysiadł przed swym domem, groom — oczekujący już tam, wsiadł prędko, i powóz potoczył się szybko do Basham.

— Bądź co bądź, ja muszę z nim pomówić, pomyślał ajent — a czem prędzej tem lepiej. Wprawdzie człowiek tak chory jak ten ma być według tego co słyszałem, nie może umknąć tak szybko jak ktoś zdrów i silny, ale i to nie podpada wątpliwości że Salter uczyni wszystko co będzie w jego mocy aby się nie dostać w nasze ręce, choćby nawet ucieczkę miał przypłacić życiem. Trzeba kuć żelazo dopóki gorące. Dziś jeszcze muszę się widzieć z doktorem.

Zwrócił się i pośpieszył na stacyę kolei, lecz gdy tam przybył, spostrzegł już tylko pociąg oddalający się śpiesznie do Basham.

— Pociąg odszedł za wcześnie, zawołał z gniewem.

Spojrzano na zegary i zegarki i przyznano że pociąg ruszył przeszło minutę wcześniej jak powinien. Zawiadowca przeprosił go i zaczął się usprawiedliwiać: pociąg przyszedł prędzej o trzy minuty; na stacyi nie czekał nikt z podróżnych i trochę zawcześnie dano znak do odjazdu. Pan Enen nie uznał tego tłomaczenia za dostateczne, ale zawiadowca nie mógł zatrzymać pociągu i trzeba było czekać na następny.

Z tego powodu dopiero o godzinie dziesiątej przybył do Basham. Zapytał o mieszkanie doktora Cavendish i wskazano mu piękny dom przy jednej z głównych ulic miasta. Otworzył mu służący w liberyi; ale oznajmił że pana nie ma w domu.

— Potrzebuję koniecznie widzieć się z nim. Czy prędko wróci?

— Nie wiem, odpowiedział zimno służący, rad jak zwykle ludzie należący do tej klasy, że może być bezkarnie niegrzecznym. Pan nie przyjmuje chorych wieczorem.

— Nie jestem bynajmniej chorym; potrzebuję widzieć się z doktorem w interesie nie cierpiącym zwłoki. Zaczekam na niego.

Służący nie śmiał sprzeciwić się temu i wprowadził go do gabineciku oświetlonego gazem, w którym znajdowały się pułki z książkami, a w rogach umieszczone były biusta nowoczesnych znakomitości.

Pan Enen pozostawiony sam, miał czas zastanowić się nad wszystkiem dokładnie. Był tak pewnym że Salter ukrywa się w Labiryncie jakby go tam widział na własne oczy. Pan Game uwiadomił go że rządzca Smith przyznał że jest kuzynem Salter'a, a jednocześnie objawił mu swe własne przypuszczenia co do pobudek skłaniających tego człowieka do osiedlenia się w Foxwood. Ta wia-

domość wzmocniła jeszcze przekonanie pana Enen, teraz już wszelka wątpliwość była niemożliwą. Już po swej bytności u mistress Chaffen, rozmawiał ze swym przyjacielem Idzim, lokajem sir Karola, i wyciągając go zręcznie na słówka, dowiedział się z pewnością, że ta kobieta nie mogła widzieć sir Karola w Labiryncie, gdyż właśnie tegoż samego dnia był na proszonym obiedzie wraz z żoną i miss Blake, o kilka mil od Foxwood, i w tejże samej chwili gdy widmo ukazało się w Labiryncie, on siedział przy stole wraz z innymi współbiesiadnikami, a Idzi usługiwał mu stojąc za jego krzesłem. Gdyby miss Blake przyszło na myśl zapytać się w którym to dniu widziano owego gentlemana, a następnie przypomniała sobie kiedy był ten proszony obiad, byłaby musiała przyznać że pomyliła się sądząc że to mógł być sir Karol.

Na nieszczęście pan Enen okazał się przezorniejszym i nie popełnił tej pomyłki. Jakikolwiek mógł być cel tajemnego uczęszczania sir Karola do Labiryntu — a pod tym względem zdanie jego nie uległo najmniejszej zmianie, i dużo o tem opowiadał nadintendentowi — był pewnym że to nie sir Karola widziano tam owego wieczora. Taka pewność znaczyła bardzo wiele; dla tego też ajent cieszył się pewnością prędkiego i pomyślnego ukończenia powierzonej mu sprawy. Co do mistress Grey, ta bezwątpienia była siostrą Salter'a.

Oczekiwanie zaczynało go już niecierpliwić; dziesiąta wybiła. Jeźli doktór nie wróci zaraz, pan Enen spóźni się na ostatni pociąg i będzie zmuszony wracać pieszo. Stanął przed popiersiem sir Roberta Peel i zaczął mu się przyglądać, gdy otworzono drzwi i weszła do pokoju kobieta miłej powierzchowności. Była to pani Cavendish.

— Bardzo mi przykro, rzekła grzecznie, że pan jest zmuszony czekać tak długo na mego męża. Posłałabym po niego gdybym wiedziała gdzie go szukać, ale nie mówił wychodząc, gdzie idzie. Podobno pan chce pomówić z nim o jakimś ważnym interesie.

— Tak, pani... bardzo ważnym dla mnie. Może nie długo już wróci?

— Tak się spodziewam. Może pan zechce przyjąć kieliszek wina lub szklankę herbaty?

Podziękował jej grzecznie ale nie przyjął: ukłoniła mu się i odeszła. W kilka minut później Enen usłyszał że ktoś kładzie klucz w zamek i otwiera drzwi wchodowe, i domyślił się że to musi być pan domu. Nie omylił się, pan Cavendish zamienił kilka słów z żoną w przedpokoju, i wszedł do gabinetu.

— Nie potrzebujemy nadmieniać że ajent musiał postępować równie ostrożnie i przebiegle w tym razie jak i we wszystkich innych. Powiedzieć prosto i otwarcie: „potrzebuję aby mi pan opisał dokładnie chorego do którego dziś byłeś wezwanym, ażebym mógł jawnie uzyskać pewność czy to jest rzeczywiście zbiegły więzień, którego poszukuję" byłoby to samo co zamknąć usta panu Cavendish. Co prawda mógłby jawnie przystąpić do rzeczy i oznajmić: „Jestem Tatton, ajent policyjny ze Scotland-Yard, i wzywam pana w imieniu prawa, abyś mi udzielił wszelkich wiadomych ci szczegółów o twym chorym z Labiryntu", a w takim razie może doktór czułby się obowiązanym spełnić jego żądanie. Wolał jednak użyć tego środka tylko w konieczności, a spróbować pierwej innego.

Powiedzieliśmy już wyżej że pan Enen miał bardzo dobre ułożenie, posiadał niezwykły dar przypodobania się każdemu i wyrażał się bardzo poprawnie. Zaczął więc wypytywać się doktora z wyrazem najżywszej troskliwości o chorego z Labiryntu, do czego umiał domięszać zręcznie kilka słów pochwalnych dla wzniosłego posłannictwa lekarza, i tym sposobem sprawił korzystne wrażenie na panu Cavendish.

— Pan jest przyjacielem tego gentlemana? zapytał.

Wyrażenie „gentlemana" rozproszyło już wszelkie wątpliwości jakie pan Enen zachował dotąd.

— Należy on do liczby osób budzących we mnie najgłębsze zajęcie, odpowiedział; a pan Cavendish nie pomyślał nawet że ta odpowiedź mogła być dwuznaczną.

— Przykro mi iż muszę panu powiedzieć że choroba jego jest nader groźną; nie pojmuję dla czego wcześniej nie zasięgali pomocy lekarskiej. I objaśnił po krótce jaką chorobę zdawały mu się zapowiadać objawiające się symptomata.

— Ależ to chorobą śmiertelna! nie do uleczenia....

— Gdy się rozwinie zupełnie, wypadki wyleczenia są nadzwyczaj rzadkie, prawie niebywałe.

— I, o ile słyszałem, choroba ta prędko zabija pacyenta?

— Tak bywa zwykle.

Ta odpowiedź doktora widocznie bardzo przykre na ajencie policyjnym zrobiła wrażenie. Jakże niemiło mu było, po tylu gorliwych poszukiwaniach dowiedzieć się że śmierć wydrze mu jego ofiarę, lub co najmniej że zbieg skona zaraz po uwięzieniu. Nigdy dotąd nie przyszło mu na myśl podobne rozwiązanie tej ważnej sprawy, które przyćmiłoby bardzo blask jego tryumfu — a prócz tego pan Tatton nie był znów zupełnie pozbawionym serca.

— Co bywa najczęściej powodem tej choroby? zapytał.

— O! powodów takich wiele być może.

— Czy mogą ją wywołać kłopoty, udręczenia, bezgraniczny niepokój?

— Bywa tak niekiedy — szczególniej jeźli istnieje dziedziczne do niej usposobienie.

— Nie przypuszczałem tego, rzekł przygnębiony ajent.

— Czy chory jest bratem lub krewnym pana? zapytał doktór?

— Nie, doktorze, nie łączą nas żadne węzły pokrewieństwa.—Więc sądzisz pan że nie ma ratunku?

— Tego stanowczo powiedzieć nie mogę — nie wyegzaminowałem go bowiem dostatecznie... to tylko pewna że dostrzeżone symptomata bardzo mi się nie podobały.

— A gdyby one rzeczywiście były objawami choroby której się pan obawiasz?

— W takim razie... słaba nader byłaby nadzieja...

— Czy zamierzasz pan odwiedzić jeszcze chorego?

— Ma się rozumieć — zapewnie jutro; w takim stanie zdrowia pomoc lekarska jest niezbędną.

— Od jak dawna rozwinęła się u niego ta choroba?

— Trudno na to odpowiedzieć — o ile przypuszczam, co najmniej od roku.

Pan Enen zaczął bawić się niby łańcuszkiem od zegarka, a w rzeczywistości przemyśliwał o tem jakim sposobem mógłby wywiedzieć się od doktora rysopisu pacyenta, bo jakkolwiek był pewnym swego, jednak jako wytrawny ajent policyjny, chciał mieć jak najwięcej dowodów.

— Czy bardzo źle chory wygląda, doktorze?

— O! gdyby sądzić tylko z wyglądania, stan zdrowia jego nie przedstawiałby się bardzo groźnym. Pobladła twarz zdradza pewne znużenie, ale piękne rysy wcale się nie zmieniły, a zęby ma prześliczne. Zdaje się tylko że włosy i broda nieco zawcześnie posiwiały, bo, o ile mi się zdaje, nie musi mieć jeszcze czterdziestu lat.

— Ma dopiero 35, rzekł detektiw, myśląc o Salterze.

— Jeźli tak to bardzo młodo osiwiał.

— Przed dwoma lub trzema laty; gdy był jeszcze zdrów zupełnie, odznaczał się niezwykłą pięknością. Wysoki, wysmukły a przytem silnie zbudowany, ruchy miał dystyngowane, śliczne czarne oczy i włosy, cerę prześliczną biało-różową.

— Widziałem go tylko w łóżku i bardzo zmienionego, zdaje mi się jednak opisałeś go pan doskonale. Wspomniałeś pan o jakichś bezmiernych jego udręczeniach i niepokojach — czy wolno zapytać jakiego są rodzaju?

— Rzeczywiście są bezmierne i straszne do zniesienia, i z własnej winy spadły na niego. Daruj pan, doktorze, iż nie mogę teraz powiedzieć jakiego są rodzaju, i nie poczytuj mi tego za nieufność lub brak uprzejmości; prawdopodobnie czekają go lada dzień sroższe jeszcze, i zapewnie dowie się pan w przeciągu kilku dni.

Doktór wnosił z tego że zapewnie chory sam wyjawi mu swoje troski i kłopoty; co zaś do ajenta policyjnego, ten uważał zadanie swoje za skończone, gdyż wszystko co się dowiedział utwierdzało go w powziętych podejrzeniach.

— Jakiż jest stosunek jego do tej zachwycającej młodej kobiety tak samotnie żyjącej w Labiryncie? zapytał doktór nieznajomego gościa, w chwili gdy tenże wstał aby się pożegnać.

— To siostra jego — odpowiedział pan Enen na chybił trafił.

— A! siostra!... Wie pan że ten chory zaintrygował bardzo pana Moore; on sądzi że to mąż tej pani, powracający z długiej podróży. Gdy zapytałem o nazwisko chorego aby je zamieścić na recepcie, młoda mistress powiedziała aby zamieścić jej nazwisko — Grey.

— Stokrotne dzięki za nieocenioną uprzejmość pana, doktorze Cavendisch.

— Bardzo mi przyjemnie że mogłem oddać panu tak małą przysługę, ale proszę nie zapominać że nie wyraziłem stanowczej opini co do nieuleczalności chorego.... nie wspomnij mu pan tego czasem, po cóż go niepokoić.

— Może pan być o to zupełnie spokojny, odrzekł ajent żegnając się.

Ponieważ ostatni pociąg już odszedł, zatem p. Enen zniewolony był wracać piechotą. Biuro policyi Bascham mieściło się w domu leżącym prawie naprzeciwko mieszkania doktora Cavendish; udał się tam aby oddać przygotowane sprawozdanie do Scotland-Yard. Niewymownie uradowany powodzeniem swego zadania, nie gniewał się nawet na przymusową nocną przechadzkę. Nareszcie Salter, ów przebiegły Salter, dotąd tak żartujący sobie z poszukiwań policyi — wpadnie w jego ręce. Na pochwałę pana Enen, przyznać jednak trzeba iż radość jego zatruwała nieco myśl o ciężkiej chorobie zbiega, i mimowolnie żal mu go było.

Północ biła na zegarze w Foxwood gdy doszedł do Labiryntu. Stanąwszy przed kratą, obejrzał się dokoła, nasłuchiwał parę minut, nareszcie odpowiednim kluczem otworzył kratę i wszedł do wnętrza.

Grobowa cisza panowała dokoła; nigdzie nie widać było najmniejszego światełka, żaden choćby najlżejszy szmer nie zdradzał obecności chorego wewnątrz domu — możnaby nawet mniemać że jest niezamieszkałym. Spróbował ostrożnie otworzyć drzwi wchodowe, ale były nietylko zamknięte na zamek, ale zamknięte wewnatrz na zasuwę; następnie zwrócił się do pawilonu przy którymześrodkowywały się podziemne przejścia, ale i klapa zasłaniająca wyjście zamknięta była z zewnątrz. Znać że przezorna ostrożność bacznie czuwała nad wszystkiem.

— No, niechże sobie tak pozostanie do jutra, myślał sobie detektiw wracając ku kracie przez zawikłane zakręty Labiryntu— ale jutro ani zamki, ani zasuwy i żelazne sztaby nie zdołają cię ocalić, wpadniesz nakoniec w moje ręce panie Filipie Salter!...

I wyszedł otworzywszy sobie kratę.

Po odejściu ajenta, doktór Cavendish rozmyślając o swej rozmowie z nieznajomym przypomniał sobie dopiero że zapomniał zapytać się go o nazwisko, i mocno był zaciekawiony kto to mógł być.

XV.

Przerażenie Anny Hopley.

Porankowe słońce rozproszyło rosę błyszczącą na trawnikach i murawach Labiryntu, zacierając zarazem ślady stóp, które nieproszone tajemnie zdeptały je w nocy. Mistress Grey, prześlicznie wyglądająca w eleganckim białym negliżu, siedziała przy śniadaniu w pokoju, którego okno mieściło się tuż obok przedsionka. Przebudzona jej dziecina, dziwnie cicha i spokojna, ślicznie ubrana leżała na sofce. Jedząc śniadanie, ciągle zwracała do niego mowę, a chłopczyk patrzył na nią wielkiemi swemi oczami, jakby rozumiał co mówi.

— Dobry... kochany... śliczny mój synek! mówiła wpatrując się w dziecię z miłością — nigdy nie krzyczy i nie złości się jak zazwyczaj inne dzieci. Mój ty najdroższy skarbie, jak ci pięknie w tej bogato haftowanej sukience... dziecino moja najdroższa, wołała pieszcząc i całując synka.

Nagle zamilkła, powierzchowny spokój ustąpił przed dręczącemi ją myślami. Ach! pomyślała, jakże bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy mogli żyć spokojnie jak inni ludzie... świat ten za mały aby tak bezmierne szczęście pomieścić się w nim mogło!

Nagły atak, jakiemu Adam uległ wczoraj, skutkiem czego narazili się na wielkie niebezpieczeństwo wzywając do niego doktora, oddziałał bardzo na podrażnienie słabych nerwów biednej Róży. Jak zawsze tak i wczoraj, w obecności męża umiała zapanować nad sobą i nie okazać miotającego nią niepokoju; ale wieczorem, gdy doktór odjechał i grożące niebezpieczeństwo minęło, nie zdołała powstrzymać łez gwałtem cisnących się do jej oczu, i głośnym wybuchnęła płaczem. W tejże chwili Adam wszedł do jej pokoju, łajał ją łagodnie starając się uspokoić. Po co się niepokoić, mówił, czyż nie lepiej przyjmować wszystko z filozoficznym spokojem! Stłumiła łzy, otarła oczy konwulsyjnym prawie ruchem, i wymawiała mu słodkim głosem że wstał, pomimo iż doktór zakazał mu podnosić się z łóżka. Adam żartował wesoło z upomnień żony, dowodząc iż pomimo owego zemdlenia, nie czuł się bynajmniej słabszym jak zwykle, i że rozkaz choćby wszystkich razem doktorów całego świata, nie zdołałby go skłonić aby, jakby obłożnie chory, leżał przykuty do łóżka.

Wesoły słoneczny poranek wywiera silny wpływ ożywczy i jakby pocieszający — i Róży też dawał się on uczuć. Podczas bezsennej nocy najczarniejsze myśli zalegały jej umysł, ale dzięki jasnemu blaskowi, jaki słońce roztaczało dokoła, i ona ożyła teraz, zarówno jak cała przyroda. W gruncie duszy nieustannie dziękowała Bogu za to iż owa nieszczęsna rewizya policyjna, nie przypadła właśnie podczas choroby Adama; gdyby tak zastali go w łóżku, żadna moc ludzka nie zdołałaby go ocalić. Gdy noc zapadała, Karol wpadł wczoraj ukradkiem na kilka minut, aby się przekonać czy stan zdrowia brata się nie pogorszył, oraz przestrzedz aby się nieustannie mieli na baczności, gdyż ma powody przypuszczać że rewizya domowa lada dzień może być ponowioną.

— Pobyt w Labiryncie, z każdym dniem staje się niebezpieczniejszy — myślała nalewając sobie filiżankę herbaty, a! gdybyż raz już można wydostać się z niego!... Już sam Londyn większe daleko zapewniałby bezpieczeństwo!

I snuła ciągle w myśli zamiary wyjazdu. Oddana już ułożyła sobie plan według którego ona z dzieckiem miała czas jakiś jeszcze pozostać w Labiryncie — choć całe nawet miesiące i lata, byle Adamowi ułatwić ucieczkę. Ale niepodobna było myśléć o tem dopokąd ten przeklęty ajent policyjny nie opuści Foxwood — teraz należało tylko strzedz się wszystkiego i nieustannie miéć się na baczności. To też codziennie gorąco błagała Boga aby uchronił męża od tego strasznego ciosu, od tej ostatecznej rozpaczy.

Anna Hopley zajęta była słaniem łóżek i uprzątaniem pokoi. Mistress Grey siedząc przy dziecku czekała w swoim pokoju dopokąd nie skończy. Gdyby miała więcej doświadczenia, zaniepokoiłby ją niezwykły spokój i prawie nieruchomość dzieciny— biedna ani domyślała się niebezpieczeństwa. Od chwili chrztu zdawał jej się codzień zdrowszy i mocniejszy. Wtem z ust dzieciny uleciała jakby słaba skarga.

— Czekaj, czekaj, aniołku mój, mówiła pochylając się do synka, Anna zaraz skończy sprzątanie, otulemy cię ciepło, mama owinie się szalem i pójdziemy do ogrodu rozkoszować się słońcem... Tam papa...

Słowa skonały jej na ustach, a w ich miejsce wydarł się głuchy jęk przerażenia. Serce ścisnęło się boleśnie—cień jakiś przesunął się przed oknem, zasłaniając promienie słoneczne — był to ajent policyjny w towarzystwie dwóch tychże samych co pierwszym razem policyantów, tylko że obecnie byli w mundurach. Z pomocą swego wytrychowego klucza, bez zawiadomienia weszli do Labiryntu, i szybkim krokiem zdążali ku drzwiom wchodowym, obecnie nie zamkniętym. Biedna Róża przypuszczała że odkryli sposób za pomocą którego Adam się ukrywa.

— Boże miłosierdzia, otocz nas swą wszechwładną opieką! szepnęła błagalnie składając ręce, a twarz jej zbladła jakby już ani kropli krwi w niej nie było.

Ajent policyjny dostrzegł ją przez okno i wszedł nie tracąc czasu. Jak pierwszym razem okazywał się bardzo uprzejmym; widocznie chciał być o tyle względnym, o ile tego dozwalały jego obowiązki. Zanim przemówił słowo, już bystrem spojrzeniem orzucił wszystko dokoła, ale nie dostrzegł nic prócz dziecka leżącego na sofce i tacy ze śniadaniem przygotowanem widocznie dla jednej osoby.

Nader przykro mu było, mówił, znowu jej być natrętnym, ale rozkaz wyższej władzy nakazywał mu odbyć powtórną rewizyę, musiał więc być posłusznym. Jednakże mistress Grey mogła być spokojną, osobiście żadnej nie dozna nieprzyjemności.

Nic nie odpowiedziała; przerażenie odjęło jej mowę, nie dozwalało zebrać myśli. Pan Enen ukłonił się i wyszedł zamykając drzwi za sobą, myśląc o widocznem przerażeniu mistress Grey, dozwalającem wnosić o niezawodnej obecności Saltera.

— Tak, ani wątpić że tym razem Salter wpadnie w moje ręce... zbladła i posiniała z przestrachu... ciekawy tylko jestem gdzie się skrył podczas pierwszej rewizyi.

Anna Hopley skończyła sprzątanie pokoi; klęcząła przed kominkiem w pokoju pani rozniecając ogień, gdy posłyszawszy szmer jakiś, obejrzała się i zobaczyła stojącego za nią pana Enen, w towarzystwie policyanta. Nie słyszała otworzenia drzwi; zerwawszy się przerażona utkwiła w nich wzrok nieruchomy — i nie dziw, wiedziała że chodzi o śmierć lub życie jej pana.

— Panie odpuść! zawołała nareszcie pewnym na pozór głosem, choć w gruncie dreszcz ją przebiegał, po cóż pan znowu przyszedłeś?

— W celu odbycia powtórnej rewizyi.

— Jakim sposobem weszliście tu panowie?

— Bardzo prostym, odrzekł pan Enen; z mocy upoważnienia władzy wyższej, otworzyłem sobie kratę, muszę spełnić swój obowiązek.

Zaskoczona tak niespodziewanie, obawiając się aby nie mając czasu do namysłu nierozważnem jakiem słówkiem nie zaszkodziła panu, rozdmuchawszy ogień Anna Hopley odeszła do kuchni z miną osoby nie myślącej bynajmniej przerywać zwykłych swoich zatrudnień, z powodu najścia policyantów. Wziąwszy kosz pełen upranej świeżo bielizny, czapeczek i różnych przyborów potrzebnych dla dziecka, poszła z nim na koniec murawy i zaczęła pranie swoje rozwieszać na krzakach porzeczkowych. Tuż obok stary Hopley zajęty był pieleniem kwatery selerów.—Drugiego policyanta p. Enen postawił na straży przy furtce od kraty, w ten sposób aby mógł widzieć wszystko dokoła, ten nie spuszczał z niej oka.—Anna dostrzegła że śledzi jej ruchy, to też rozwiesiwszy pranie, powróciła niebawem z pustym koszem do kuchni.

— Pilnują mnie jak więźnia, pomyślała; gdybym tak chciała pójść o tyle dalej żeby mnie widzieć nie mógł, kazałby mi się wrócić, z obawy abym nie uprzedziła pana o ich zejściu. Darmo! nie w naszej mocy odwrócić niebezpieczeństwo... los jego w ręku Boga... dobrze jeszcze że przyszli dziś a nie wczoraj!

Może niczego dotąd pan Enen nie był tak pewnym w życiu, jak w tej chwili tego że Filipa Salter znajdzie w łóżku i zaaresztuje go bez trudności. Jednakże inaczej się stało; pomimo najstaranniejszych poszukiwań, nie znalazł w całym domu najmniejszego śladu pobytu jakiegoś mężczyzny. Łóżka były posłane, pokoje w porządku, wszystko tak jak podczas pierwszej rewizyi. Daremnie argusowym wzrokiem szukał śladu jakichś skrytek — przekonał się tylko o niemożliwości ich istnienia — i rzeczywiście żadnej nie było.

— Gdzie u licha! może siedzieć? myślał sobie rozglądając się do koła.

(D. c. n.)



N. 1. Rękawiczka ogrodowa. Krój na arkuszu N. VI. fig. 25—26.

Opis do N-ru 31.

(Dokończenie.)

N. 13. Mały wykładany kołnierzyk ze szmizetką. Krój na arkuszu z formami N. X, fig. 43—46.

N. 21. Szmizetka z niewarowego batystu ozdobiona haftem. Krój N. VII, fig. 27.

Przody szmizetki są na ramionach na 4 cent. długości a 3 szerokości przy wykroju przemarszczane; drugie przemarszczanie dane 20 cent. niżej, ma 6 cent. szerokości a 3 długości. Do przednich brzegów przyszyty gładko haft 9 cent. szeroki, wywija się 8 cent. szeroko na dwie strony. Także haft stanowi kołnierzyk wykładany.

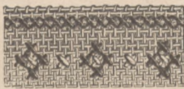
N. 5. Sukieneczka dla dziewczynki. Krój i deseń N. XIV, fig. 63—64.

N. 22. Fartuszek ogrodowy dla małych dzieci.

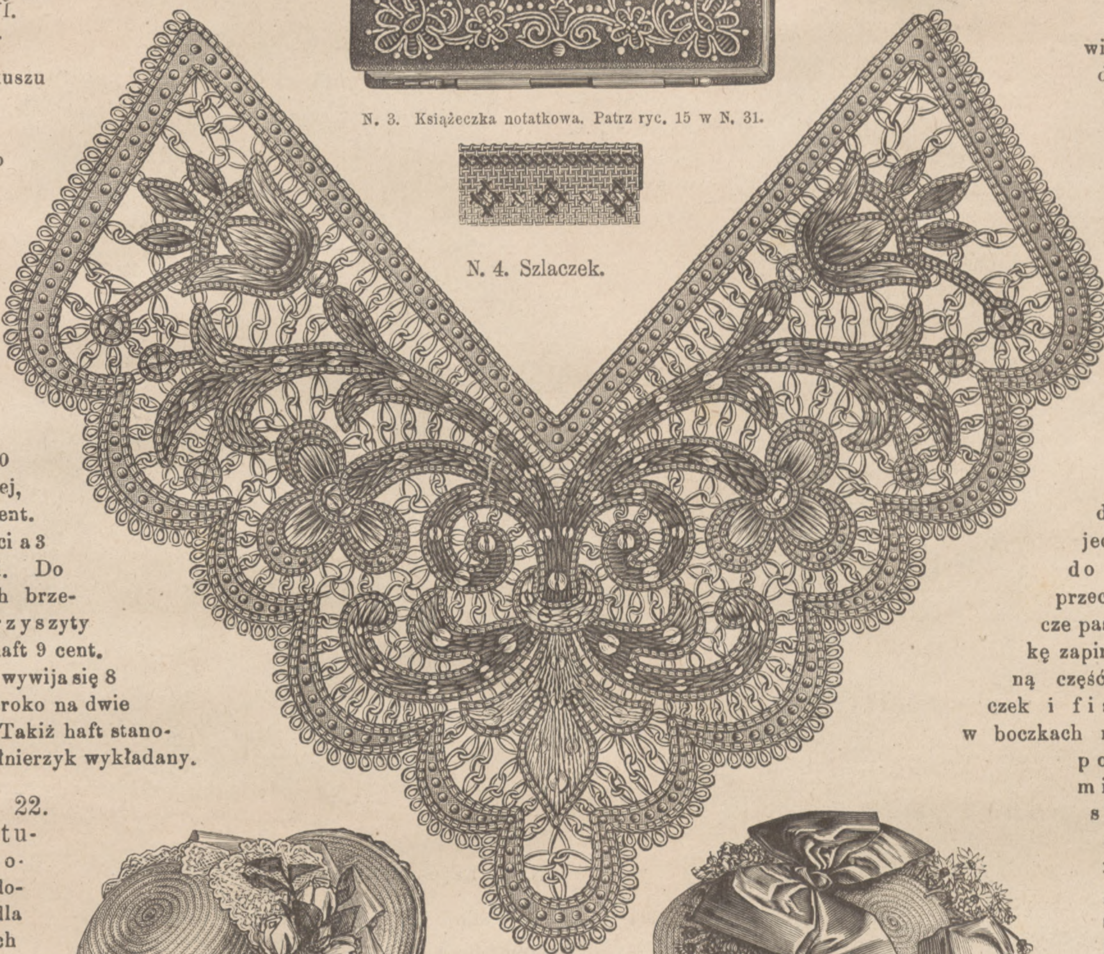
Bardzo praktyczny fartuszek, całą sukienkę osłaniający, kraje się w jednej sztuce z płótna lub półbatystu, składając na środku przodu materyał skośnie, a pachy wycina się kolisto. Do ściągania w pasie i przy wykroju szyi podszywa się od spodu listewkę. Deseń podany na fig. 64 wyszywa się ponsowym sutaszem, albo bawełną ściegiem łańcuszkowym.



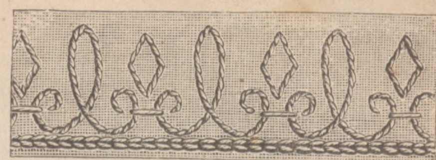
N. 3. Książeczka notatkowa. Patrz ryc. 15 w N. 31.



N. 4. Szlaczek.



N. 7. Zakończenie do krawatki, haft maurytański.



N. 2. Szlaczek wyszyty na płótnie.

N. 23. Gorset dla niedorosłych, pochyło trzymających się panienek.

Ryc. 23 przedstawia gorset z popielatego dreliszku niedozwalający rosnącym jeszcze panienkom pochyło się trzymać. Z przodu wszyte są tylko sznurki, a z boków i z tyłu gęsto wewleczone fiszbiny do pleców przystębnowane są ramiączka 65 cent. długie, w górze 8 cent. szerokie a w końcach do 2 c. zwężone, które krzyżują się na plecach i podług potrzeby dociśnięte, zapinają się na haftki i okute dziurki. Od jednej pachy do drugiej przechodzi jeszcze pasek na haftkę zapinany. Górną część ramiączek i fiszbiny w boczkach można podszyć miękką skórką, ażeby nie mogły cisnąć. Formy nie podajemy, bo tylko wprawna gorseciarka może dobrze dotrafić taki gorset.



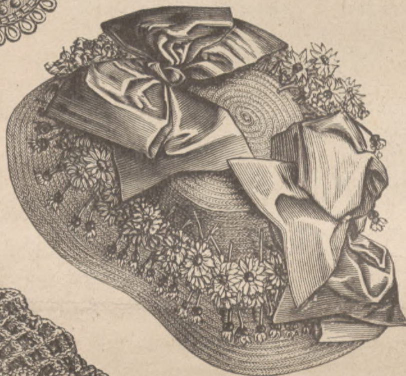
N. 6. Sukienka wycięta dla dziewczynki lat 5—7. Patrz ryc. 12 w N-rze 31. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 54—57.

N. 25 i 36. Suknia z vêtement. Krój N. VIII, fig. 31—38.

Model do ryc. 25 i 36 odrobiony był z satynki czarnej w duże kwiaty; spódnica podana oddzielnie na fig. 38, u dołu oszyta jest trzema 12 cent. szerokiemi w zęby wyciętemi plisowanemi falbankami, jedna na drugą zachodzącemi, i wolan-



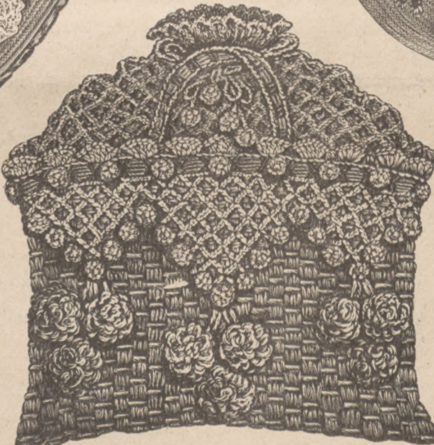
N. 8. Kapelusz zdobny szalikiem batystowym, koronką i gałązką róż.



N. 9. Kapelusz zdobny wianeczkiem stokrotek i kokardami.



N. 11. Szlaczek górny do woreczka ryc. 10.



N. 10. Woreczek szydełkowy. Patrz ryc. 11—12.



N. 12. Część uszka do ryc. 10.



N. 13. Suknia z vêtement à panier. Patrz r. 37 w N-rze 31.



N. 15. Haft złotem i jedwabiami, do ryc. 24.



N. 14. Suknia z draperyą odmienną z każdego boku. Patrz ryc. 2 w N. 31.



N. 20—21. Suknia z vetement à panier.

robotę lub haft albo przypiąć szycie. Pas robi się z prostego kawałka płótna żeglowego lub zwyczajnego szarego, mającego 9 cent. szerokości a 34 długości, zeszytego w podłuż we dwoje. Poprzednio wzdłuż na środku wyszyć ściegiem pospiesznym, bawełną ponsową lub szafirową, wązki szlaczek, podług ryc. 35 w N-rze 32. Złożyć pas tak żeby zeszycie wypadało na środku od spodu; obrąbić brzegi poprzeczne, przestębnować pas dwa razy w odstępie 2/3 c. od brzegów, wsunąć w środek wałek drewniany, przyszyć wstążki do zawieszenia pasa i związania brzegów poprzecznych, w miejscach wskazanych na ryc. 18. W pkoju pas można przywiązać do krzesła.



N. 16. Kapelusz jedwabny zdobny kwiatami.



N. 18—19. Suknia z marszczonym [...]iem, dla panienki lat 11—13. Krój na arkusz[...] fig, 47—52.

N. 27. Suknia ze stanikiem, z długą u dołu wyciętą w patki baskiną.

Spódnica z surowego bastu garnirowana była plisowanemi wolantami. Stanik paltocikowy, zrobiony był z szafirowego atłasu; patki i mankiety oszyte sznurem jedwabnym.



N. 17. Kapelusz wiązany, zdobny koronką, kokardami i kwiatami.

N. 32. Mantyla czarna, ozdobiona koronką.

Przody z dopasowanemi do figury zaszewkami i krótkie boczne części zeszyte z sobą w tyle, daje się z jedwabnego repsu. Do tych ostatnich przyszywa się u dołu gładką 17 c. długą falbanę z czarnego jedwabnego tiulu zagarnirowaną hiszpańską 8 c. szeroką koronką. Plecy i rękawy stanowi peleryna z tańszej materyi przykrojona, z wierzchu jedwabnym koronkowym tiulem pokryta, ogarnirowana koronką. Przy wykroju szyi riusza koronkowa

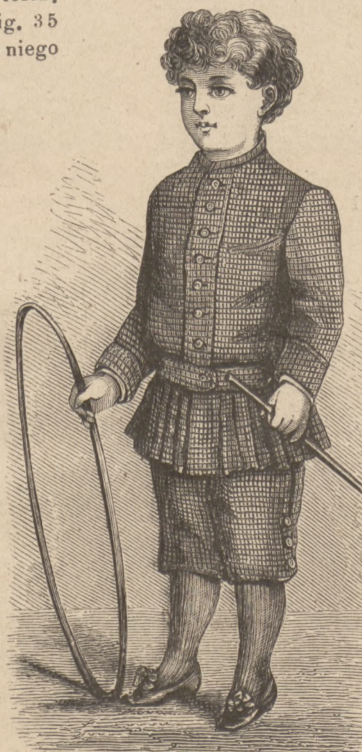


N. 22. Suknia z vêtement. N. 23. Suknia z krótką draperyą.

tem plisowanym, 32 cent. szerokim, w górze zakończonym nagłówkiem 6 cent. szerokim, u dołu oszytem 8 cent. szeroką koronką. Takiż wolant skośnie zwężony, w górze płaską bufką zakończony, naszyty jest z przodu na spódnicy, w sposób wskazany na fig. 38. Na fig. 21—34 i 36, dajemy formę stanika do vêtement, w naturalnej wielkości, a na fig. 35 mały model i miary długiej baskiny, przyszytej do niego od gwiazdki do dwukropka. Nie zeszyte w tyle i rozchodzące się z sobą obie połowy baskiny, oszyte koronką podpina się trochę z przodu i z tyłu. Draperyę tylną stanowi jeden bryt podszyty jasną satynką, w połowie długości poprzecznie przefałdowany i wachlarzowo ułożony. Kokardy z kolorowej wstążki.



N. 26. Suknia ze stanikiem z baskiną.



N. 24. Ubranie dla chłopczyka lat 5—7. Krój na arkuszu N. IV, fig. 15—20.

N. 26, 18 i ryc. 35 w N. 32. Pas do przytrzymania roboty, ozdobiony lekkim haftem.

Przyrząd podany na ryc. 26 jest bardzo dogodny dla osób chcących zająć się robotą na świeżem powietrzu, zawiesić go można na gałęzi każdego drzewa i przyfastrygować do niego małą krzyżową



N. 28. Suknia z paletotowym stanikiem.

N. 29. Suknia z bawetowym stanikiem.

N. 30. Ubranie [...]ka lat 2—4. Krój na [...] N. V, fig. 21[...]

N. 31. Ubranie spacerowe z pelerynką. Krój na arkuszu N. III, fig. 13—14.

N. 32. Sukienka z haftem dla panienki lat 12—15.

N. 33. Sukienka z pelerynką dla dziewczynki lat 9—12.

N. 33—34. Dwie spacerowe letnie toalety.

N. 33. Suknia ubrana kokardami.

Odrobiona była z satynki ciemno szafirowej, z obłożeniem stanika, kołnierzem wykładanym i mankietami z aksamitu. Kokardy z szafirowej wstążki.

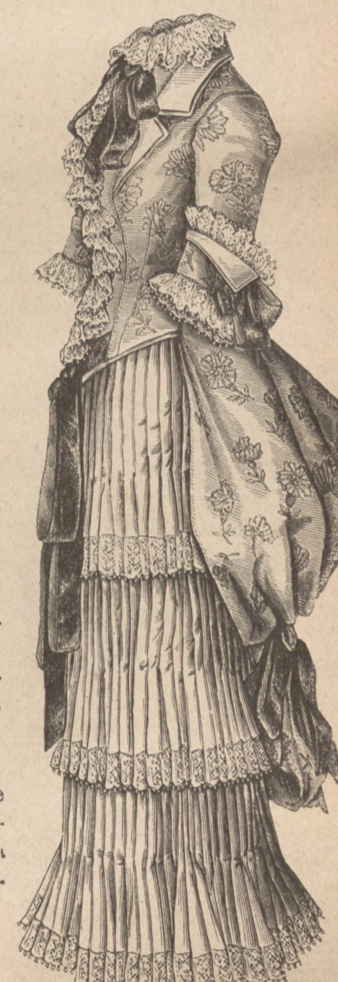
N. 34. Ubranie z chusteczką koronkową.

Suknia z jasnej satynki ubrana koronkami nicianemi koloru ficelle. Chusteczka zrobiona z dwóch skośnych kawałków koronkowego tiulu do dołu spiczasto ściętych, w górze przy wykroju szyi sfałdowanych i w pasek wszytych, na którym dana riusza koronkowa. Brzegi chusteczki oszyte koronką, końce upięte sposobem wskazanym na ryc. 34.



N. 25. Sukienka wycięta. Patrz r. 6, tudzież ryc. 12 w N. 31. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 53—57.

N. 35 i ryc. 4 w N-rze 32. Serwetka meblowa, robota krzyżowa na kanwie kongresowej jedwabiem bronzowym i oliwkowym. Szlaki i kwadrat środkowy z koronki irlandzkiej.



N. 27. Suknia z vêtement. Wskazanie kroju na arkuszu N. XII, fig. 53.



N. 34. Przycisk. Haft patrz r. 15.

N. 37 i r. 13 w N. 32. Sukienka z vetement a panier.

Model odrobiony był z satynki białej w rzucik lila, na szlakach ułożone girlandy z bzu. Stanik z przodu bawetowy z draperyą a panier, z tyłu był na sposób vetement, razem z draperyą krajany. Boki i przód stanika opasane paskiem fałdowanym, spiętym z przodu kokardą z satynki. Kołnierz wykładany; garnirunek z białej; szerokiej koronki.



N. 36. Serweta na stół. Haft z podkładaniem. Patrz ryc. 53 i fig. 28—29 a.

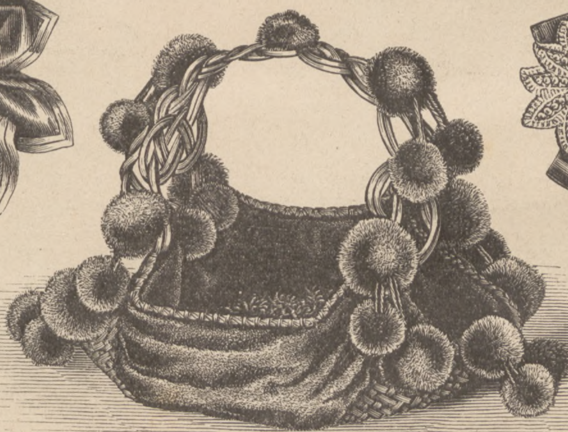
Opis do N-ru 32.

N. 5. Sukieneczka dla dziewczynki.

Uszyta z dwojakiego materyału lub w dwóch cieniach może służyć na zimę lub na lato, stosownie do tego czy wybierzemy wełnę z jedwabiem, lub kreton czy batyst.



N. 38. Żabot upięty z chusteczki.

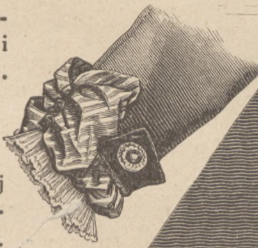


N. 40. Koszyczek do robót.

N. 6 i 25. Sukienka wycięta dla dziewczynki lat 5—7. Patrz ryc. 12 w N. 31. Krój na arkuszu Nr. XIII, fig. 54—62.

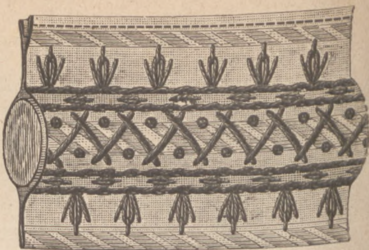


N. 43. Sukienka z vêtement dla panienki lat 13—15. Patrz r. 44.



N. 41. Rękaw do sukni.

Ryciny 6 i 25 przedstawiają przód i plecy sukienki beżowej, zaś ryc. 12 w N. 31 i fig. 62 na arkuszu z krojami dają kaftanik stanowiący dopełnienie ubrania do wyjścia na ulicę. Ma on formę puszczaną z przodami zapiętemi na dwa rzędy; wykładany kołnierz, klapki przy kieszonkach i mankiety aksamitne dodane z aksamitu, takież plisy przy sukience są po 4 centym szerokie. Przód sukienki zdobią patki, ścięte szpiczasto i przytwierdzane złotemi guziczkami. U dołu spódniczki skośna falbana 12 cent. szeroka, przemarszczana kilkakrotnie. Przód i boki przy krajaniu dopełniają się na długość i szerokość podług miar wskazanych na częściach kroju. Krając plecy dodaje się materyał na fałdy zachodzące pod spód; pod fałdami, na szwach łączących plecy z bokami, dla rozszerzenia sukienki wszyty jest od *m* kawałek materyału 35 cent. szeroki a 20 długi, u góry zmarszczony i wszyty w pasek, a od *m* do *m* przyczepiony niewidocznemi ściegami do pleców.



N. 35. Część drążka do r. 26 w N. 31.



N. 39. Żabot z haftowanemi końcami. Deseń Patrz fig. 30.

N. 18 i 19. Sukienka ze stanikiem marszczonym, dla panienki lat 11—13. Krój na arkuszu: Nr. XI, fig. 47—52.

Spódniczka może być naszyta falbankami jak na ryc. 18, lub cała zaplisowana jak na ryc. 19.



N. 37. Kwiat haftowany do r. 36.

N. 42. Rękaw do sukni.

Długi bluzkowy przemarszczany stanik szyje się na gładkiej, dobrze dopasowanej podszewce; przody i plecy są przy wykroju szyi sfałdowane podług krzyżyków i kropek; szeroko otwarte przody dopełnia plastron, przykrojony podług fig. 47, który pod szyją i w pasie przymarszczony jest do potrzebnej szerokości Po zszyciu ramion i szwów bocznych przemarszcza się kilkakrotnie stanik w pasie na szerokość 4 c. poczem łączy szwem odwracanym z podszewką. Przód draperyi przykrojonej podług *a*, przyszyty z jednego boku na baskinie stanika, przechodzi naokoło i zapina się na guziki pod upięciem tylnem (b) rękawy dają się krótkie jak przy sukience r. 18. lub długie lekko zmarszczane przy ręce jak na r. 19. Kołnierz oszyty szydełkową koronką. (*D. n.*)



N. 44. Sukienka z vêtement. Patrz ryc. 43. Krój na arkuszu Nr. II fig. 8-12.



N. 45. Szlak ściegiem łańcuszkowym i płaskim.